NR 27 (1900) 8 LIPCA 2025

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Proj. Marek Sobczyk

45 lat temu

SIERPIEŃ ZACZĄŁ SIĘ W LIPCU

TYSOL.PL

ISSN 0208-8045
27 INDEKS 379433
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

- KOŃ, KTÓRY KRĘCI TUSKIEM
- JAK OBNIŻYĆ CENĘ PRĄDU?

eprasa.pl ac5f701e87

RAPORT

DRAPIEŻNY ZIELONY (NIE)ŁAD

już dostępny

TERAZ TAKŻE W JĘZYKU ANGIELSKIM!

Pierwsza tak kompleksowa analiza wpływu
polityki klimatycznej Unii Europejskiej
na polską gospodarkę
przygotowana na zlecenie NSZZ „Solidarność”
przez grono niezależnych i uznanych ekspertów.

Kup na

WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

eprasa.pl ac5f701e87

Michał Ossowski
REDAKTOR NACZELNY

Społeczny bunt wobec komunistycznej władzy nie dał o sobie znać od razu. Najpierw w ludziach kiełkowało poczucie niesprawiedliwości. Kolejne posunięcia władzy sprawiły, że zrodziła się chęć zmian. Wreszcie, kiedy w czerwcu 1979 roku Polskę odwiedził Jan Paweł II, Polacy zobaczyli, że ich uczucia podzielają inni. Że jest ich wielu. Bardzo wielu. I to dodało im odwagi.

W środku lipca 1980 roku, w cieniu zaniedbanych fabryk i zmęczonych twarzy, Polska zaczęła coraz głośniej mówić: „Dość!". Fala strajków, która przeszła przez Lubelszczyznę, była iskrą, której żar dotarł aż nad Bałtyk i rozniecił ogień wolności w całym kraju.

Dziś, po 45 latach od tamtych wydarzeń, widać wyraźnie: strajki 1980 roku nie tylko obudziły Polskę, ale otworzyły drzwi do transformacji całej Europy Środkowo-Wschodniej.

Strajki lipcowe to kluczowy rozdział naszej historii. Pracownicy nie myśleli o obaleniu systemu. Chcieli godnie żyć, domagali się wyższych płac, lepszych warunków pracy i podstawowego szacunku. Ale skala protestów rosła lawinowo. W ciągu dwóch tygodni zastrajkowało około 150 zakładów pracy na Lubelszczyźnie.

Lipcowe strajki miały charakter inny niż wcześniejsze bunty. Były zorganizowane, zdyscyplinowane i rozsądne. Co więcej, zakończyły się sukcesem: rząd spełnił wiele z postulatów, co dodało odwagi reszcie Polski. To właśnie Lubelski Lipiec pokazał, że system się chwieje. Władza była zaskoczona strajkami, ale nie miała pretekstu, by reagować brutalnie. Dzięki temu można było pójść o krok dalej.

14 sierpnia w Stoczni Gdańskiej rozpoczął się strajk, który miał przejść do historii. Pojawiły się postulaty wolnościowe: prawo do niezależnych związków zawodowych, wolności słowa, uwolnienia więźniów politycznych. Fala protestów objęła cały kraj, a robotnicy z różnych regionów zaczęli się solidaryzować. Porozumienia Sierpniowe były przełomem. Powstała Solidarność, która stała się nie tylko związkiem zawodowym, ale także ruchem ucieleśniającym idee i dążenia ludzi, także tych, którzy zastrajkowali w lipcu na Lubelszczyźnie.

Dziś, po 45 latach od tamtych wydarzeń, widać wyraźnie: strajki 1980 roku nie tylko obudziły Polskę, ale otworzyły drzwi do transformacji całej Europy Środkowo-Wschodniej. Przede wszystkim jednak pokazały, że zmiana może rodzić się z milczącego oporu, z odwagi ludzi, z siły wspólnoty. S

NA DOBRY POCZĄTEK **WASIUKIEWICZ**

eprasa.pl ac5f701e87

08.07.2025
WYDANIE Nr
27

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

45. rocznica Lubelskiego Lipca

8 „Staniesz, to dostaniesz”

12 Nareszcie strajk!

16 MON zapomniał o polskich śmigłach. Rozmowa z B. Duszkiewiczem

18 Wszystko z doskoku, doraźnie. Wywiad z A. Kuchtą

KRAJ

Ostre prezydenckie otwarcie 20
Koń, który kręci Tuskiem... i pędzi z nim w przepaść 24
Czy można obniżyć cenę prądu? 28
Nie da się dłużej udawać 32
Dziurawa granica 36
„Jaszczur” i przemysł radykalizmu 40

SPOŁECZEŃSTWO

Nie o zupę chodzi 46

KULTURA

Jeśli artysta nie jest wariatem, to nie jest artystą. Rozmowa z W. Komendarkiem 50
Performance politycznie zaangażowany 54

ZWIĄZEK

Co w związku 60
Europa zaradzi kryzysowi mieszkaniowemu? 62

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Wojciech Kwidziński

Członek Zarządu: Michał Ossowski

Redaktor naczelny: Michał Ossowski
m.ossowski@tygodniksolidarnosc.com

Zastępcy redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa, Rafał Woś

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy:
Andrzej Berezowski, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Krzysztof Karnkowski, Kacper Kita, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Ludwik Pęzioł, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Jakub Szmit, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie:
Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto:
Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika:
Krzysztof Karnkowski, Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl:
Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Monika Rutke, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki, tel. 510 075 689, e-mail: k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. ks. Jerzego Popiełuszki 6, 80-864 Gdańsk
nr konta: SKOK im. Franciszka Stefczyka
52 7065 0002 0651 8267 6304 0001

Telefon: 58 337 60 44

FELIETONY:

WOŚ 7
OKRASKA 11
GAC 15
MAŁKOWSKA 27
SKWIECIŃSKI 43

POLECAMY:

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 23
KARUZELA Z BLOGERAMI 31
ŚWIAT WEDŁUG JASTRZĘBOWSKIEGO 35
Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 45
CZYTAM, CHADZAM, DORADZAM, ODRADZAM 58
SPORT 64
PRAWO 72

eprasa.pl ac5f701e87

PODPISZ WNIOSEK

O REFERENDUM OGÓLNOKRAJOWE W SPRAWIE ZIELONEGO ŁADU

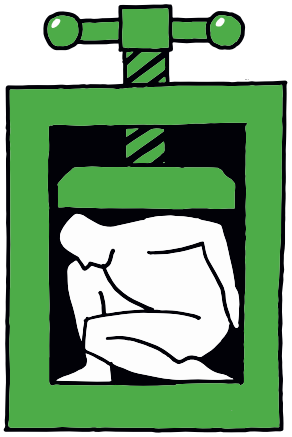

ZATRZYMAJ
ZIELONY ŁAD

PODPISZ, ZANIM ZRUJNUJĄ CI ŻYCIE

www.preczzzielonymladem.pl

NSZZ Solidarność

NSZZ RI Solidarność

eprasa.pl ac5f701e87

Udzielam poparcia wnioskowi o poddanie pod referendum ogólnokrajowe sprawy o szczególnym znaczeniu dla państwa i obywateli dotyczącej ograniczenia przez Polskę obecnych przepisów strategii „Zielonego Ładu” i bieżącej polityki klimatycznej UE

zawierającemu następującą propozycję pytania w przedmiotowej sprawie:

Czy jest Pani/Pan

za zobowiązaniem Prezydenta RP, Parlamentu RP, Rządu RP do odrzucenia przez Polskę polityki klimatycznej UE w obecnym kształcie, zawartej w europejskim „Zielonym Ładzie”

Odpowiedzi "Tak" lub "Nie".

Lp.	Imię (imiona) i nazwisko	Adres zamieszkania (miejscowość, ulica, nr domu, nr lokalu)	Nr ewidencyjny PESEL	Podpis
١	٢	٣	٤	٥

Wypełnioną kartę można wysłać na adres redakcji „Tygodnika Solidarność”: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa.

eprasa.pl ac5f701e87

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Rafał Woś

Osobliwa nie-śmierć Zielonego Ładu

Komisja Europejska Ursuli von der Leyen kolejny raz postanowiła udowodnić wszystkim niedowiarkom skalę swojego oderwania od rzeczywistości, potrzeb oraz obaw Europejczyków. Zapowiedziała właśnie, że do roku 2040 emisja CO_2 w krajach wspólnoty zostanie zmniejszona o 90 procent. W drodze do ostatecznego zbawienia świata, czyli tzw. neutralności klimatycznej (z angielska „net zero") w roku 2050.

Ta deklaracja pokazuje kilka rzeczy. Pierwsza jest taka, że rządzący unijną biurokracją liberalny establishment nie wyciągnął żadnych wniosków z antyklimatystycznego buntu, który trwa w Europie od wielu miesięcy. Wygląda więc na to, że Komisja von der Leyen sama chyba prosi się o jeszcze więcej rolniczych najazdów na Brukselę z wylewaniem obornika pod Berlaymontem i o jeszcze lepsze wyniki antyestablishmentowych ugrupowań politycznych w kolejnych krajach Europy. Gdzieś na końcu tej drogi czeka nas ów historyczny dzień, gdy po kolejnych wyborach do Parlamentu Europejskiego nastąpi odsunięcie od władzy nad Komisją tej wielkiej (choć coraz mniejszej) koalicji chadeków, socjalistów, liberałów i zielonych. Krótko mówiąc – swoim trwaniem w zielonym szaleństwie generacja von der Leyen gorliwie pracuje na jakiegoś europejskiego Trumpa, który przyjdzie i spuści całe to ich „net zero" w toalecie. Ku uldze i uciesze większości zwykłych Europejczyków, których to zielone szaleństwo od lat torturuje zwiększeniem kosztów życia z jednej i utratą miejsc pracy z drugiej strony.

Po drugie, widzimy dziś też już coraz wyraźniej rozjazd planów euroestablishmentu z rozsądkiem i rachunkiem ekonomicznym. Von der Leyen i jej współpracownicy forsujący „net zero" kompletnie ignorują podstawowe fakty. Nie widzą, że zielone technologie NIE WCHODZĄ w miejsce technologii tradycyjnych. Elektryczne auta NIE WYPIERAJĄ aut konwencjonalnych, a tzw. zielona stal NIE ZASTĘPUJE stali tradycyjnej. W efekcie NIE POWSTAJĄ zielone miejsca pracy w zamian za miejsca przez zieloną rewolucję niszczone. Na dodatek coraz trudniej o nowe zielone inwestycje. A to dlatego, że po pandemii i po kryzysie inflacyjnym kredyt w gospodarce bardzo podrożał. Inaczej to wyglądało w roku 2019 czy 2020, gdy stopy procentowe na Zachodzie wynosiły przez lata 0 proc., a inaczej jest dziś, gdy urosły. W efekcie tych tanich jak barszcz bilionów, które miały dokonać transformacji energetycznej, nie ma dziś na rynku. A biznes od zielonych technologii coraz wyraźniej ucieka w popłochu.

I jeszcze po trzecie. Największymi ofiarami zielonej obsesji Ursuli von der Leyen stają się… jej polityczni sojusznicy i protegowani. Z naszymi uśmiechniętymi na czele. Przez pierwszy rok swoich rządów premier Tusk wykonał tytaniczną pracę z użyciem całej propagandowej machiny, by przekonać opinię publiczną, że on z tymi wszystkimi Zielonymi Ładami nie miał absolutnie nic wspólnego. I że zieloną rewolucję wymyślili oczywiście Morawiecki z Kaczyńskim. Jeszcze w kampanii wyborczej kandydat Trzaskowski mówił, że Zielonego Ładu już nie ma. Dzięki jego formacji ma się rozumieć. A tu, proszę, traaach! Ich brukselska sojuszniczka serwuje na koniec ich polskiej prezydencji przypomnienie, że Zielony Ład trzeba… przyśpieszyć. Bo redukcja o 55 proc. nikogo już nie satysfakcjonuje. I teraz Komisja chce się bić o 90 proc.

Kilka lat temu brytyjski politolog Colin Crouch nazwał swoją książkę „Osobliwa nie-śmierć neoliberalizmu". Chodziło w niej o to, jak neoliberalne idee i polityki mimo kryzysów czy krytyki nie znikają, tylko raczej przechodzą w formy dostosowane do nowych okoliczności. Wygląda na to, że z klimatyczną obsesją unijnych elit będzie podobnie. Też – jak zombie z horroru – nie będą chciały wyzionąć (nomen omen) ducha. Niby nieżywe, ale jednak nieumarłe.

Co przypomina tylko starą prawdę, że liberałów trzeba stale pilnować. Bo oni cały czas kombinują, co by tu jeszcze spieprzyć…

eprasa.pl ac5f701e87

Temat Tygodnia

Mija 45 lat, od kiedy mieszkańcy Lublina, Świdnika, Puław, Chełma, Kraśnika, Białej Podlaskiej, Lubartowa i innych miejscowości na Lubelszczyźnie wyszli na ulice, by sprzeciwić się drakońskim podwyżkom cen. Impuls wyszedł ze Świdnika, gdzie już po trzech dniach władze ustąpiły i zasiadły do stołu, by podpisać pierwsze w historii PRL pisemne porozumienie z Komitetem Postojowym reprezentującym robotników.

Marcin Krzeszowiec

Staniesz, TO DOSTANIESZ

Historię gospodarczą PRL można zredukować do serii kryzysów, na końcu których komuniści zawsze sięgali do kieszeni robotników. Po przeprowadzeniu propagandowej „operacji cenowo-dochodowej", czyli mówiąc wprost – po podwyżkach cen żywności – społeczeństwo było zmuszone przełamać strach i zareagować. Wybuchały masowe protesty, niejednokrotnie brutalnie pacyfikowane i dyskredytowane jako „drobne, chuligańskie wybryki" – to określenie władz PRL na wydarzenia z Czerwca 1976 roku, kiedy ludzie nie zgodzili się na drastyczne podwyżki cen. Nabiał miał wtedy zdrożeć o 64 proc., mięso i ryby o 69 proc., a cukier o 90 proc.

Komuniści próbowali ratować gospodarkę, wykonując „manewr gospodarczy", ale już na początku nowej dekady, powrócili do starych metod.

Fot. Jacek Szydłowski / Forum

Pogłębiający się kryzys ekonomiczny spowodował, że ekipa Edwarda Gierka zdecydowała się na najgorszy możliwy ruch – po raz kolejny ogłosiła podwyżkę cen żywności. 1 lipca 1980 roku ogłoszono podwyżkę cen niektórych artykułów mięsnych i wędliniarskich. Drożyzna zbulwersowała szczególnie robotników, którzy żywili się w bufetach i stołówkach zakładowych. Jakby tego było mało, niektórzy robotnicy otrzymali niższe pensje na skutek zmiany norm oraz mniejszej liczby dni roboczych w czerwcu.

Czara goryczy przelała się natychmiast, bo pojedyncze protesty – nazywane przez władze „przerwami w pracy" – wybuchały już w pierwszych dniach lipca w Mielcu, Poznaniu, Tarnowie czy w warszawskim Ursusie.

Do historii przeszły jednak wystąpienia na Lubelszczyźnie, które rozpoczął strajk z 8 lipca 1980 roku w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego „Świdnik" na Wydziale Obróbki Mechanicznej. W świdnickiej WSK serwowano tego dnia kotlet schabowy, a jego cena wzrosła z 10 do 18 złotych. Tak tamte wydarzenia zapamiętał Mirosław Kaczan pracujący w WSK „Świdnik": – Było kilka, kilkanaście minut po ósmej. Koledzy, kiedy wracali z baru, głośno dyskutowali. Ten kolega, który obok mnie pracował, Stasio Konowałek, też był zbulwersowany. Pewne niecenzuralne słówka padały pod adresem władzy. Zapytałem go: „Co się dzieje, Stasiu?". On mi odpowiedział: „Zobacz, w barze wszystko podrożało prawie o sto procent. Miało nie drożeć, a wszystko jest droższe". Z reguły jestem impulsywnym człowiekiem. Mówiąc delikatnie, też się wkurzyłem. Powiedziałem: „Tak dalej być nie może". Rzuciłem pewne niecenzuralne słówka i dodałem: „Stajemy, nie robimy" – wspominał.

O tym, jak radykalne były to podwyżki, świadczy również przykład z Warszawskiej Fabryki Pomp, w której strajk wybuchł 14 lipca. Jeden z tamtejszych pracowników przyniósł z bufetu kaszankę i rzucił ją na stół prezydialny, mówiąc: „Tym się karmi świat pracy i to świństwo kosztuje 48 zł za kilogram, a kosztowało 23 zł".

> W świdnickiej WSK serwowano 8 lipca kotlet schabowy. Jego cena wzrosła **z 10 do 18 złotych.**

Mówiąc krótko: komuniści mocno przegięli. I to podwójnie, jeśli spojrzeć z perspektywy Lubelszczyzny, gdzie podwyżki były szczególnie odczuwalne. W tym regionie stopa życiowa pozostawała bowiem na wyjątkowo niskim poziomie. W województwie lubelskim spożycie dóbr konsumpcyjnych było na dwukrotnie niższym poziomie niż w stolicy. Do tego dochodziły niskie płace i luki w zaopatrzeniu rynku.

Nic dziwnego, że właśnie Lubelszczyzna stała się centrum protestów. Strajki w lipcu 1980 roku wybuchały, co prawda, w wielu miejscach kraju, ale to w regionie lubelskim były największe – pracy nie podjęło 50 tys. ludzi w przeszło 150 zakładach pracy.

Jedną z przełomowych dat tego społecznego zrywu był 11 lipca, kiedy w WSK „Świdnik" – po raz pierwszy w historii PRL – władze zdecydowały się podpisać porozumienie z pracownikami reprezentowanymi przez Komitet Postojowy. Nic dziwnego, że coraz częściej powtarzano wśród robotników hasło: „Staniesz, to dostaniesz".

– Postulaty były przede wszystkim płacowe i dotyczące zaopatrzenia. Ostatni punkt był taki, że godziny

eprasa.pl ac5f701e87

postoju załoga zobowiązuje się odpracować, nie pobierając za to wynagrodzenia do końca roku. Nie wstydzę się tego. Postulaty były socjalne, ale my nie mieliśmy doradców, polityków, ekonomistów, tak jak w Gdańsku, gdzie był cały zespół. [...] To porozumienie było naszym skarbem i ono zostało utajone. My bardzo cieszyliśmy się, że to będzie nasze, że to nie zginie. W PRL było to pierwsze porozumienie podpisane między załogą a władzą. Wcześniej Gdańsk, Poznań zakończyły się krwawo. W naszym porozumieniu był postulat, żeby wobec strajkujących i komitetu nie zastosowano żadnych represji, i tak się stało – podkreślała była pracownica świdnickiego zakładu Urszula Radek.

Na tym się jednak nie skończyło, a strajki trwały dalej w innych zakładach. Kula śnieżna toczyła się i nabierała rozpędu. Władza była zmuszona do ustępstw i zdecydowała się na kolejny bezprecedensowy krok, a mianowicie powołała 18 lipca Komisję Rządową, która miała zająć się rozpatrzeniem postulatów strajkujących pracowników w województwie lubelskim.

Protesty, których centrum znajdowało się na Lubelszczyźnie, **przetarły drogę** strajkom na Wybrzeżu i powstaniu NSZZ „Solidarność”.

– W czasie rozmów obiecywali nam, że zmienią ręczniki, że dopłacą do kotletów na stołówce z funduszu socjalnego, dadzą podwyżki, że za rok będą wybory do rad zakładowych, więc będziemy mogli wybierać. Może zwiększą rodzinne, ale do tego trzeba zmienić ustawę. Inne postulaty uznali za polityczne i nie chcieli o nich rozmawiać. Mówili, że ci, którzy będą za głośno protestować, mogą znaleźć się w więzieniu. Mniej więcej w ten sposób toczyły się rozmowy. Straszono nas, że na wiadukcie nad Drogą Męczenników Majdanka są ustawione karabiny maszynowe i nas wystrzelają – wspominał Ryszard Blajerski z Lubelskich Zakładów Naprawy Samochodów.

Do rozlewu krwi ostatecznie nie doszło, a strach przełamała jedna z najważniejszych grup zawodowych w takich sytuacjach, a mianowicie kolejarze. To w trakcie Lubelskiego Lipca przeprowadzono największy do tej pory protest na kolei, który trwał od 16 do 19 lipca w Lokomotywowni Pozaklasowej Lubelskiego Węzła Kolejowego. Już pierwszego dnia zastrajkowało około 800 kolejarzy, w tym maszynistów, którzy zatrzymywali pociągi, blokując w ten sposób tory do Lublina i paraliżując Lubelski Węzeł Kolejowy. Powstała wtedy plotka, że kolejarze przyspawali lokomotywy do torów.

18 lipca strajkowała już niemal cała tamtejsza załoga. Poza postulatami płacowymi kolejarze żądali poprawy zaopatrzenia sklepów w artykuły spożywcze czy wprowadzenia wolnych sobót. Dni wolnych od pracy w soboty chcieli także pracownicy Żyrardowskich Zakładów Tkanin Technicznych. Ten postulat zapisano później na drewnianych tablicach w Stoczni Gdańskiej jako ostatni z 21 postulatów MKS. Ostatecznie pracownicy lublińskiej Lokomotywowni wywalczyli kilkaset złotych podwyżki i możliwość przeprowadzenia nowych, demokratycznych wyborów do rady zakładowej.

Media starały się oczywiście przemilczeć strajki. Ludzie mogli się o nich dowiedzieć, regulując odbiorniki na Radio Wolna Europa, ale po kolejowym paraliżu Lublina władza zaczęła rozwieszać plakaty z apelami do mieszkańców. W lubelskiej gazecie pojawił się także komunikat Biura Politycznego KC PZPR z 18 lipca, który brzmiał: „Biuro Polityczne wyraziło głębokie zaniepokojenie przestojami w zakładach produkcyjnych i komunalnych oraz w lubelskim węźle kolejowym, a także ogólną sytuacją w mieście. Sytuacja ta podważa dobre imię naszego kraju, narusza zaufanie do Polski u jej partnerów i może budzić niepokój jej przyjaciół. Pociąga ona za sobą liczne kłopoty dla mieszkańców miasta. Atmosfera napięcia jest na rękę wrogom Polski, stwarza niebezpieczeństwo prowokacji politycznej. Każdy dzień nie przepracowany w aktualnej sytuacji gospodarczej naszego kraju, w obliczu klęski żywiołowej, która dotknęła wiele regionów, pogłębia istniejące trudności, wyrządza dodatkowe straty”.

– Biuro Polityczne zwraca się z apelem do załóg lubelskich zakładów pracy i do społeczeństwa Lublina o przywrócenie ładu i normalnego rytmu pracy. Niezbędna jest powszechna dbałość o wydajność pracy, oszczędność materiałów i energii, obniżenie kosztów wytwarzania, słowem: aktywny współudział w zwiększaniu gospodarności. Jest to bowiem jedyna droga podwyższania płac i dalszej poprawy warunków życia ludzi pracy – apelowali komuniści.

Takie apele spływały jednak po strajkujących jak po kaczce. Według danych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych PRL w lipcowych strajkach wzięło udział około 80 tys. ludzi w 177 zakładach pracy na terenie kraju. Protesty, których centrum znajdowało się na Lubelszczyźnie, przetarły drogę strajkom na Wybrzeżu i powstaniu NSZZ „Solidarność”. Pokazały, że można zmusić władze do ustępstw i porozumienia z robotnikami. Ośmieliły ludzi do walki o swoją godność i przewróciły kolejny klocek domina, który jako pierwszy poruszył św. Jan Paweł II.

***

Cytaty Ryszarda Blajerskiego, Urszuli Radek i Mirosława Kaczana pochodzą z 45. numeru periodyku „Scriptores. Lubelski Lipiec 1980”. W tekście wykorzystałem także informacje z tekstów dr. Grzegorza Majchrzaka.

eprasa.pl ac5f701e87

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Magdalena Okraska

Obok – o pracownikach socjalnych

Zajmuję się ludźmi bez rodzin, bez innej pomocy, bez pieniędzy i bez przyszłości. Odwiedzam tych, do których nikt nie zagląda tygodniami, pozbawionych sieci sąsiedzkiego i rodzinnego wsparcia. Nie zawsze trzeźwych, nie zawsze czystych. Nie, nie jestem empatycznym aniołem. To moja praca. Państwo polskie wycenia ją na 4600 zł na rękę.

Pracownik socjalny to ciągle nisko wyceniany zawód, o czym świadczy także jego sfeminizowanie. W żadnych zawodach opiekuńczych typu opiekun żłobkowy czy przedszkolny, nauczyciel, asystent rodziny, pielęgniarka nie ma przewagi mężczyzn, a nawet ich silną niedoreprezentację, choć, co ciekawe, większość ich nazw występuje w formie męskiej. Widział ktoś kiedyś mężczyznę opiekuna żłobkowego? No właśnie. Jedyne wyjątki w zawodach opiekuńczych to ratownik medyczny i sanitariusz. Jest tam faktycznie sporo panów.

Próbowałam nazywać się pracownicą socjalną, ale nie ruszyły za mną w tej kwestii tłumy naśladowczyń. W każdym razie – zawody opiekuńcze obsadza się kobietami, ponieważ istnieje przekonanie o ich cesze, jaką ma być ogromna opiekuńczość, odpowiedzialność, empatia, umiejętność bycia bardziej proludzkim niż mężczyźni. Oczywiście chodzi głównie o to, że można im bezkarnie mniej płacić, po czym lać krokodyle łzy, że tak mało zarabiają. Można też wywierać na nie presję, by przejmowały się swoją rolą zawodową ponad siły, przenosiły ją na życie prywatne, miały wyrzuty sumienia, że niedostatecznie dobrze pomagają.

To, że w zawodzie pracownika socjalnego jest mało mężczyzn, to jedno. Druga, także bardzo ważna kwestia to fakt, że wcale nie garnie się do jego wykonywania zbyt wiele osób. Nie pomagają wymogi ustawowe (obecnie nie można pracować na tym stanowisku, nie mając kierunkowego wykształcenia wyższego), ale i sam charakter pracy oraz wysokość płacy nie zachęcają.

Nie będę przekonywać do jej podjęcia opowieściami o wielkiej misji. To szereg małych sukcesów i wielu porażek, to praca niepiękna, nie tylko z ludzkimi emocjami i potrzebami, ale także z ludzkim ciałem we wszystkich jego formach i przejawach. Nie jest to ciało zawsze piękne i czyste, tak jak nie są piękne i czyste okoliczności, w których żyje. Czasami da się z tym coś zrobić, czasami nic. Nie ma w tej pracy wielkich momentów triumfu, podziękowań. Raczej złość, łzy (czasem własne), wyzwiska, niepokój. To zawód, który budzi nas w nocy, bo zastanawiamy się nawet przez sen, jak pomóc temu czy tamtej. To towarzyszenie ludziom w kondukcie pogrzebowym. Sprzątanie śmieci, dezynfekcja grzyba, trudna sztuka rozmowy, czasem odmawiania. Patrzenie, jak jednemu się polepsza, a inny się rozpada, wiruje ku uzależnieniu i śmierci. To zapach pleśni i ogniska we włosach.

Wspieramy, pomagamy – ale tak naprawdę towarzyszymy w niemal każdym kroku, tym dobrym i tym w gorszą stronę. Zdzieramy buty, nie śpimy z obaw i strachu o czyjeś życie, zdrowie czy trzeźwienie. Podejmujemy trudne decyzje, odbywamy szorstkie rozmowy. Jesteśmy obok.

eprasa.pl ac5f701e87

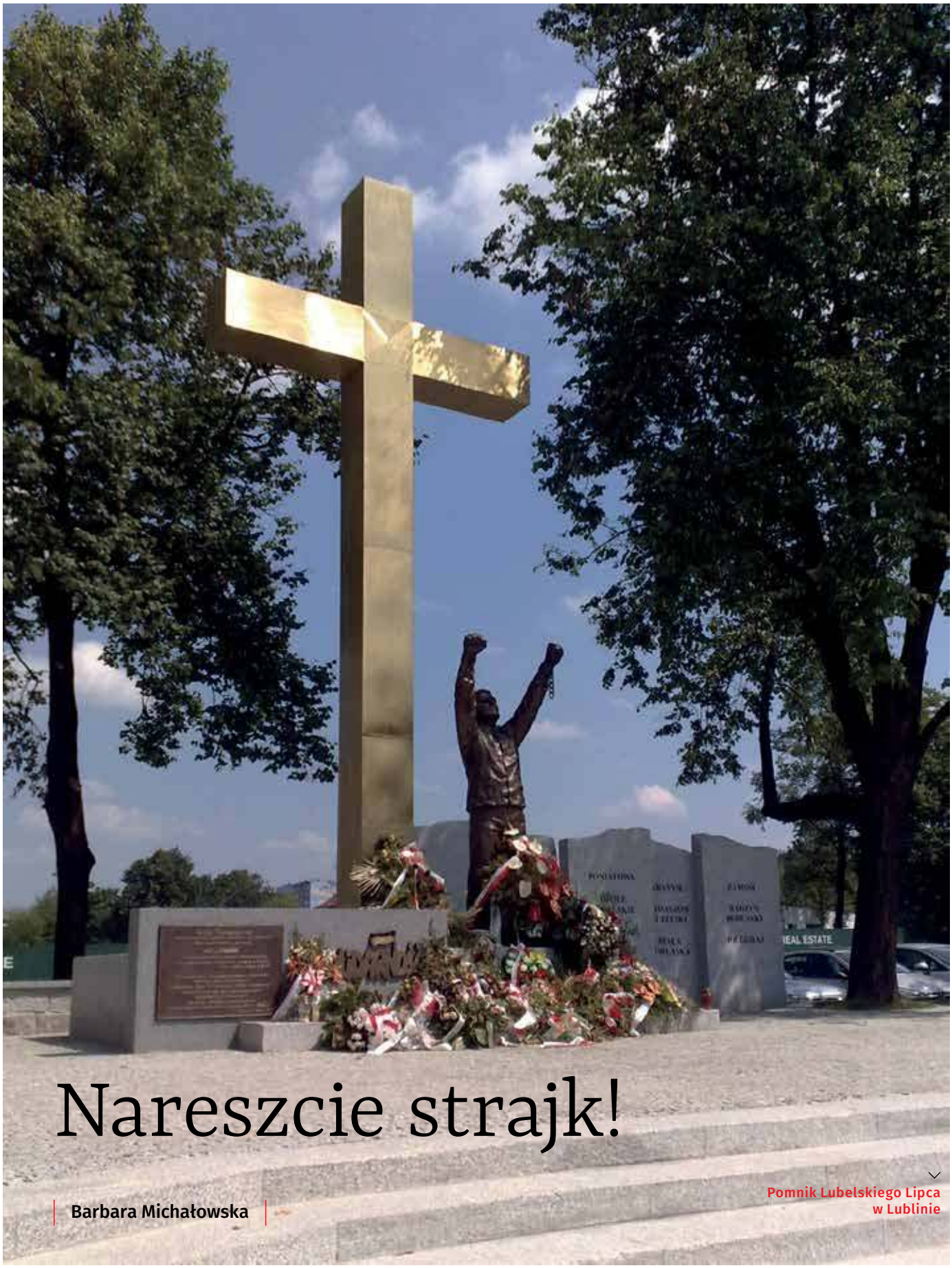

Nareszcie strajk!

Barbara Michałowska

Pomnik Lubelskiego Lipca w Lublinie

Fot. Wikipedia

eprasa.pl ac5f701e87

To strajki na Lubelszczyźnie wytyczyły drogę, którą poszli potem pracownicy Stoczni Gdańskiej i innych zakładów w całej Polsce. To w WSK „Świdnik" podpisano 11 lipca pierwsze od czasów powstania PRL porozumienie między pracownikami a władzą.

Iskra

Zanim Świdnik stał się symbolem przełomu, pierwsze oznaki społecznego niezadowolenia pojawiły się już wcześniej – w czerwcu i na początku lipca 1980 roku. Krótkotrwałe, choć znaczące strajki odbyły się m.in. w Tomaszowie Lubelskim i Mielcu. Były one reakcją na pogarszające się warunki życia, wzrost cen, niedobory w sklepach oraz niskie płace. Choć nie osiągnęły tak dużej skali jak późniejsze protesty w Świdniku czy Lublinie, odegrały istotną rolę jako zapowiedź narastającego niezadowolenia społecznego. To one przygotowały grunt pod bardziej skoordynowane wystąpienia robotnicze, które miały wkrótce nastąpić.

Strajk

8 lipca 1980 roku zatrudnieni w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego (WSK) w Świdniku przerwali pracę. W czasie przerwy śniadaniowej pracownicy wydziału mechanicznego rozpoczęli strajk, protestując przeciwko podwyżkom cen w bufetach zakładowych bez rekompensat płacowych. Protest szybko ogarnął cały zakład i stał się impulsem dla fali strajków w regionie.

„Robotnicy [...] nie pracowali, mimo że dyrekcja wszelkimi sposobami – prośbami i groźbami – próbowała ich do tego zmusić. Niektórzy pozostali na stanowiskach pracy, inni wyszli przed hale. Widok strajkujących robotników oraz ich nieustępliwość spowodowały, że dołączyli do nich pracownicy umysłowi. Był to wynik działania emisariuszy, którzy przenosili informacje między halami produkcyjnymi i biurowcem" – wspominał na łamach historia.swidnik.net Ryszard Kuć, który sam o sobie mówił: – W tym czasie byłem przewodniczącym wydziałowego koła starych związków zawodowych. Początkowo obserwowaliśmy strajkujących. Nie wiedzieliśmy, co robić. To były trudne decyzje, bo pamiętaliśmy, co zrobiono z ludźmi strajkującymi w 1970 roku. W EPI prawie 80% załogi stanowiły kobiety, więc dalsze kroki były jeszcze bardziej ryzykowne. Próbowałem rozmawiać w Radzie Zakładowej, bo przecież związki powinny być z pracownikami. Niestety, nie było z kim mówić. Musiałem podjąć decyzję, tym bardziej, że wszyscy w dziale czekali na to, co zrobię. Powiedziałem, że idę przed biurowiec, a za mną wyszli pozostali pracownicy EPI. Później wypadki potoczyły się szybko. Jako przedstawiciel pionu ekonomicznego wybrany zostałem do Komitetu Strajkowego.

Leszek Graniczka, narzędziowiec, który 8 lipca 1980 r. przyszedł do pracy na drugą zmianę, wspominał na łamach portalu Muzeum Historii Polski:

„Gdy dowiedziałem się, że jest strajk, to pomyślałem – nareszcie. Wszedłem taki rozradowany do zakładu. Ludzie zdecydowali, że nie będą pracować. Trwały dyskusje. Kierownik i sekretarz partii pytali: «O co wam chodzi?». W tym czasie ludzie byli nieśmiali, a ja odważyłem się i powiedziałem, dlaczego ludzie stoją. Ludzie wtedy o mięsie rozmawiali, o podwyżkach, a ja powiedziałem: «Nie chodzi o mięso. Trzy dni temu cały dzień nie było prądu i produkcja stała, my tracimy pieniądze, może dlatego ten kotlet musiał podrożeć?». Później koledzy wyznaczyli mnie na przedstawiciela do komitetu strajkowego".

> PROTESTY W ŚWIDNIKU CZY LUBLINIE ODEGRAŁY ISTOTNĄ ROLĘ JAKO ZAPOWIEDŹ NARASTAJĄCEGO NIEZADOWOLENIA SPOŁECZNEGO. TO ONE PRZYGOTOWAŁY GRUNT POD BARDZIEJ SKOORDYNOWANE WYSTĄPIENIA ROBOTNICZE, KTÓRE MIAŁY WKRÓTCE NASTĄPIĆ.

Postulaty

Sformułowano aż 110 wspólnych postulatów załogi. „Poczynając

eprasa.pl ac5f701e87

od pozornie prozaicznych kwestii tabel płac, stawek, dodatków czy zaszeregowań, horyzont żądań sięgał poprawy zaopatrzenia i warunków bytowych w całym mieście, zmniejszenia dysproporcji w rozwoju między wschodnimi obszarami Polski a resztą kraju czy nawet spraw ustrojowych, jak uniezależnienie rady zakładowej od dyrekcji, zniesienie uprzywilejowania Milicji Obywatelskiej, wojska oraz aparatu partyjnego, wprowadzenie wolnych sobót na stałe czy podawanie rzetelnych informacji w środkach masowego przekazu" – pisał Marcin Dąbrowski w „Biuletynie IPN-u".

„O godz. 10 zebrał się już kilkutysięczny tłum. Rozstawiono mikrofony i na schody biurowca wyszedł dyrektor w towarzystwie zakładowego pierwszego sekretarza partii i przewodniczącego rady zakładowej. Pierwsza wystąpiła Zofia Bartkiewicz, późniejsza przewodnicząc Komitetu Strajkowego. Powiedziała, między innymi: Mówię do was, jako członek partii i radna. Ja o żądaniach, które teraz wysuwacie mówiłam przez dwadzieścia parę lat, ale bez skutku. My się tego inaczej nie dobijemy, jak przez strajk. Popatrzmy na siebie. Stoimy tu wszyscy, ramię w ramię, robociarz i kapelusznik" – wspominał Ryszard Kuć wydarzenia z drugiego dnia strajku.

Strajk w Świdniku trwał cztery dni i zakończył się podpisaniem 11 lipca pierwszego od czasów powstania PRL porozumienia między robotnikami a władzą. Miał on charakter pokojowy, ograniczony do terenu zakładu.

– Po czterech dniach i zgodzie dyrektora na nasze żądania strajk został przerwany. Ostatecznie porozumienie kończące strajk zawierało następujące punkty: podwyższenie zarobków i wzrost płac o dalsze 400 zł miesięcznie od 1 stycznia 1981 roku; stosowanie zasady rekompensaty zarobków w przypadku dalszego wzrostu kosztów utrzymania; poprawienie zaopatrzenia „Świdnika" w artykuły żywnościowe; nierepresjonowanie członków Komitetu Strajkowego, osób wspierających i wszystkich strajkujących oraz wypłacenie wszystkim strajkującym wynagrodzenia za czas strajku w wysokości jak za urlop – w zamian załoga wykona produkcję, pracując w godzinach dodatkowych – wspominał Ryszard Kuć.

Pracownicy pomimo obaw przed represjami wykazali niezwykłą jedność i solidarność – od robotników fizycznych po kadrę techniczną.

Choć początkowym impulsem była podwyżka cen posiłków, szybko na pierwszy plan wysunęły się inne problemy: niskie płace, złe warunki życia, brak podstawowych produktów, a także brak reprezentacji interesów pracowniczych przez oficjalne związki zawodowe. Wraz z rozwojem strajku rosła świadomość polityczna uczestników.

Lawina

Po Świdniku fala strajków przetoczyła się przez Lublin i cały region. Stanęły zakłady komunikacji miejskiej, przemysłowe i kolejowe. 16 lipca zatrzymał się cały Lubelski Węzeł Kolejowy, co doprowadziło do niemal całkowitego paraliżu miasta. Protesty były tak masowe, że władze zostały zmuszone do podjęcia negocjacji i utworzenia rządowej komisji pod przewodnictwem wicepremiera Mieczysława Jagielskiego.

To właśnie w lipcu 1980 roku na Lubelszczyźnie podpisano pierwsze pisemne porozumienia między strajkującymi a władzą. Zdobyte wówczas doświadczenie organizacyjne i negocjacyjne zostało wykorzystane podczas późniejszych protestów na Wybrzeżu, w tym w Stoczni Gdańskiej w sierpniu. W ten sposób Lubelski Lipiec utorował drogę do powstania NSZZ „Solidarność".

CHOĆ POCZĄTKOWYM IMPULSEM STRAJKÓW BYŁA PODWYŻKA CEN POSIŁKÓW, SZYBKO NA PIERWSZY PLAN WYSUNĘŁY SIĘ INNE PROBLEMY: NISKIE PŁACE, ZŁE WARUNKI ŻYCIA, BRAK PODSTAWOWYCH PRODUKTÓW, A TAKŻE BRAK REPREZENTACJI INTERESÓW PRACOWNICZYCH PRZEZ OFICJALNE ZWIĄZKI ZAWODOWE.

eprasa.pl ac5f701e87

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Karol Gac

Giertych w foliowej czapeczce

Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego orzekła o ważności wyborów prezydenckich. Decyzja, choć spodziewana, kończy powoli żałosny polityczny serial, którym byliśmy raczeni przez ostatnie tygodnie.

Niedawno pisałem Państwu o próbach podważenia wyniku wyborów prezydenckich. Problem w tym, że od tamtego czasu przeciwnicy Karola Nawrockiego, z Romanem Giertychem na czele, poszli kilka kroków dalej. Dzięki ich histerii mogliśmy usłyszeć najbardziej fantastyczne i absurdalne historie czy scenariusze. I to bez jakiejkolwiek odpowiedzialności za państwo.

Mimo braku wiarygodnych sygnałów o nieprawidłowościach Roman Giertych z właściwym sobie patosem rozpoczął krucjatę mającą na celu zakwestionowanie legalności zwycięstwa Karola Nawrockiego. Zamiast uznać głos obywateli, rozpętał polityczno-medialną histerię, opartą na domysłach, ogólnikach i rzekomych „dowodach", które nie wytrzymywały konfrontacji z faktami. Takie działania, choć oczywiście skrajnie nieodpowiedzialne i niebezpieczne, były jednocześnie cyniczną grą obliczoną na konsolidację najtwardszego elektoratu Platformy.

Giertych, znany z prowadzenia kampanii opartych na emocjach i konflikcie, doskonale zdawał sobie przecież sprawę, jak silne skutki społeczne będzie miała jego narracja. W związku z tym jego zachowanie należy traktować jako świadome podsycanie polaryzacji, podważanie zaufania do instytucji publicznych i sianie chaosu w momencie, w którym Polska potrzebuje stabilności.

Warto pamiętać, że stawką było coś poważniejszego, a mianowicie wiarygodność całego systemu.

Roman Giertych stawia się w roli obrońcy demokracji, ale jego działania przypominają raczej grę, w której reguły liczą się tylko wtedy, gdy służą jemu i jego stronie. W imię doraźnego interesu politycznego gotów był podważyć zaufanie społeczeństwa do jednej z ostatnich wspólnych instytucji, które nam jeszcze zostały: uczciwych wyborów. W pewnym momencie odleciał tak bardzo, że brakowało tylko, aby nałożył foliową czapeczkę chroniącą przed promieniowaniem 5G.

Donald Tusk jednak z pełną premedytacją pozwalał na show Romana Giertycha. Premier w żaden sposób nie raczył zareagować, choć – gdyby chciał – ukróciłby to w ciągu chwili. Nie chciał. I warto o tym pamiętać. Dopiero rozsądne zachowanie koalicjantów, którzy odcięli się od tych szkodliwych pomysłów, jak również jasna deklaracja Szymona Hołowni i spadające sondaże sprawiły, że i Donald Tusk zrobił pół kroku w tył.

Problem w tym, że tego absurdalnego tematu w ogóle nie powinno być. Przez miesiąc odwracano uwagę od naprawdę istotnych wydarzeń i przekierowywano ją na coś, co musiało się skończyć tak, jak się skończyło. To jednak niczego nie dało, bo społeczeństwo dostrzega, z czym mamy do czynienia. I wyciąga wnioski.

eprasa.pl ac5f701e87

MON zapomniał o polskich śmigłach

– Za półtora roku prawdopodobnie nie będziemy mieli pracy. Zarząd firmy próbuje pozyskiwać inne zamówienia. Polskie Zakłady Lotnicze Mielec sprzedały już ponad 100 takich śmigłowców, z czego polski rząd kupił... 13. Brak zakupów tych śmigłowców dla polskiej armii stawia nas w trudnej sytuacji przed ewentualnymi kontrahentami w świecie – mówi **Bartłomiej Duszkiewicz** w rozmowie z **Jakubem Pacanem**.

Fot. arch. B. Duszkiewicza

– Agencja Uzbrojenia, unieważniając postępowanie na zakup dla wojska 32 kolejnych śmigłowców S-70i Black Hawk z zakładów PZL Mielec dla Wojska Polskiego, napisała w uzasadnieniu: „W obliczu dynamicznie zmieniającej się sytuacji geopolitycznej i ewoluujących zagrożeń naturalną rzeczą jest optymalizacja i dostosowywanie priorytetów zakupowych do aktualnych potrzeb Sił Zbrojnych". Jak rozumieć to tłumaczenie?

– To niezrozumiałe. Podejrzewam, że za słowem „optymalizacja" kryje się brak pieniędzy. Dla nas to nie do uwierzenia, że Ministerstwo Obrony Narodowej potrzebuje natychmiast śmigłowców szkoleniowych, bo nie będzie miał pilotów, i wcześniej o tym nie wiedział. Decyzja MON dziwi tym bardziej, że w tej chwili w zakładzie PZL Mielec na ukończeniu jest kontrakt na 32 śmigłowce dla wojska z Filipin oraz kontrakt dla Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Rumunii w wersji patrolowo-ratunkowej, wkrótce zakład będzie miał wolne moce produkcyjne, które mogłyby być wykorzystane. PZL Mielec bardzo liczył na kontrakt w Wojskiem Polskim, w końcu linia produkcyjna mieleckiego blackhawka została zbudowana z myślą o Wojsku Polskim. Teraz okazuje się, że nasza polska armia zmienia priorytety, nie chce zamawiać tych śmigłowców. Ciekawe zatem, jaki kraj kupi śmigłowce z Mielca, skoro sama polska armia ich nie zamawia. 10 lat temu przetarg na śmigłowce wielozadaniowe wygrała francuska firma Airbus Helicopters, dzięki naszym staraniom został on zerwany. Kupowanie francuskich śmigłowców w Polsce, która ma dwie fabryki śmigłowców w Mielcu i Świdniku, jest nieracjonalne. Teraz znowu zmieniają się priorytety i będą kupowane śmigłowce szkoleniowe, gdzie faworytem znowu jest firma Airbus Helicopters. Został nawet podpisany list intencyjny między Wojskowymi Zakładami Lotniczymi nr 1 w Łodzi a Airbusem Helicopters w tym temacie. Nie chcę niczego sugerować, ale niedawno premier Donald Tusk podpisał umowę z prezydentem Emmanuelem Macronem, oczywiście nie wiemy, co w tej umowie się znajduje, ale nagle się okazuje,

ZA PÓŁTORA ROKU PRAWDOPODOBNIE NIE BĘDZIEMY MIELI PRACY, JEŻELI NIE POJAWI SIĘ NOWY KONTRAKT.

eprasa.pl ac5f701e87

że polska armia znowu wraca do francuskich śmigłowców, a decyzja o unieważnieniu postepowania na zakup S70i Black Hawk zostaje ogłoszona dzień po wyborach prezydenckich.

– NSZZ „Solidarność" z PZL Mielec wystosowała pismo do ministra Władysława Kosiniaka-Kamysza, domagając się wyjaśnień. Jakie są losy tego pisma? Ktoś odpisał?

– Żadnej oficjalnej odpowiedzi nie dostaliśmy. Niestety analizujemy, co się dzieje m.in. z wystąpień publicznych przedstawicieli MON, ministra Pawła Bejdy, który odpowiadał na zapytania i interpelacje naszych mieleckich posłów. Niestety wokół tej decyzji Agencji Uzbrojenia jest bardzo dużo znaków zapytania i niedomówień.

– Jakie konsekwencje dla zakładu pracy w Mielcu i jego załogi będzie miało wycofanie się z postępowania zakupowego?

– Za półtora roku prawdopodobnie nie będziemy mieli pracy, jeżeli nie pojawi się nowy kontrakt. Zarząd firmy próbuje pozyskiwać inne zamówienia. PZL Mielec sprzedały już ponad 100 takich śmigłowców, z czego polski rząd kupił tylko 13. Widać zatem, że ważne są dla nas rynki zewnętrzne. Brak zakupów tych śmigłowców dla polskiej armii stawia nas w trudnej sytuacji przed ewentualnymi kontrahentami w świecie. Państwa naszego regionu, Europy Środkowo-Wschodniej, patrzą na nasze wojsko. Jeżeli MON nie będzie chciał tych śmigłowców zamawiać, to tracimy wiarygodność. Owszem produkcja tych śmigłowców, to nie jest 100% naszej pracy, jednak jest na tyle ważna i duża, że zakończenie tej linii produkcyjnej pociągnęłoby za sobą zwolnienia.

– Jakie będą kolejne kroki NSZZ „Solidarność" ws. utrzymania produkcji blackhawków?

– W tej chwili próbujemy prostować wszystkie kłamstwa na temat naszej firmy, np. że śmigłowiec jest cywilny, nie wojskowy. Każdy sprzedany śmigłowiec ma certyfikat wojskowy i jest budowany zgodnie z normami wojskowymi. Produkowane w Polsce śmigłowce S70 Black Hawk oraz amerykańskie UH-60 Black Hawk mają ten sam wojskowy rodowód i parametry operacyjne, przy około 95 proc. identycznych części. W nagłośnieniu tej sprawy pomagają nam posłowie Prawa i Sprawiedliwości oraz władze samorządowe, które zgodnie wystosowały apel w obronie mieleckich śmigłowców i naszych miejsc pracy. Nie mam wątpliwości, że w dłuższej perspektywie skończy się to protestem w Warszawie. PZL Mielec jest poważnym pracodawcą na Podkarpaciu i jednym z największych płatników podatków w regionie.

– Zarząd współpracuje ze związkami zawodowymi?

– Tak, prowadzimy dialog, mamy układ zbiorowy funkcjonujący od kilkunastu lat. Władze firmy rozmawiają z nami i biorą nasz głos pod uwagę.

Bartłomiej Duszkiewicz – przewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność" PZL Mielec.

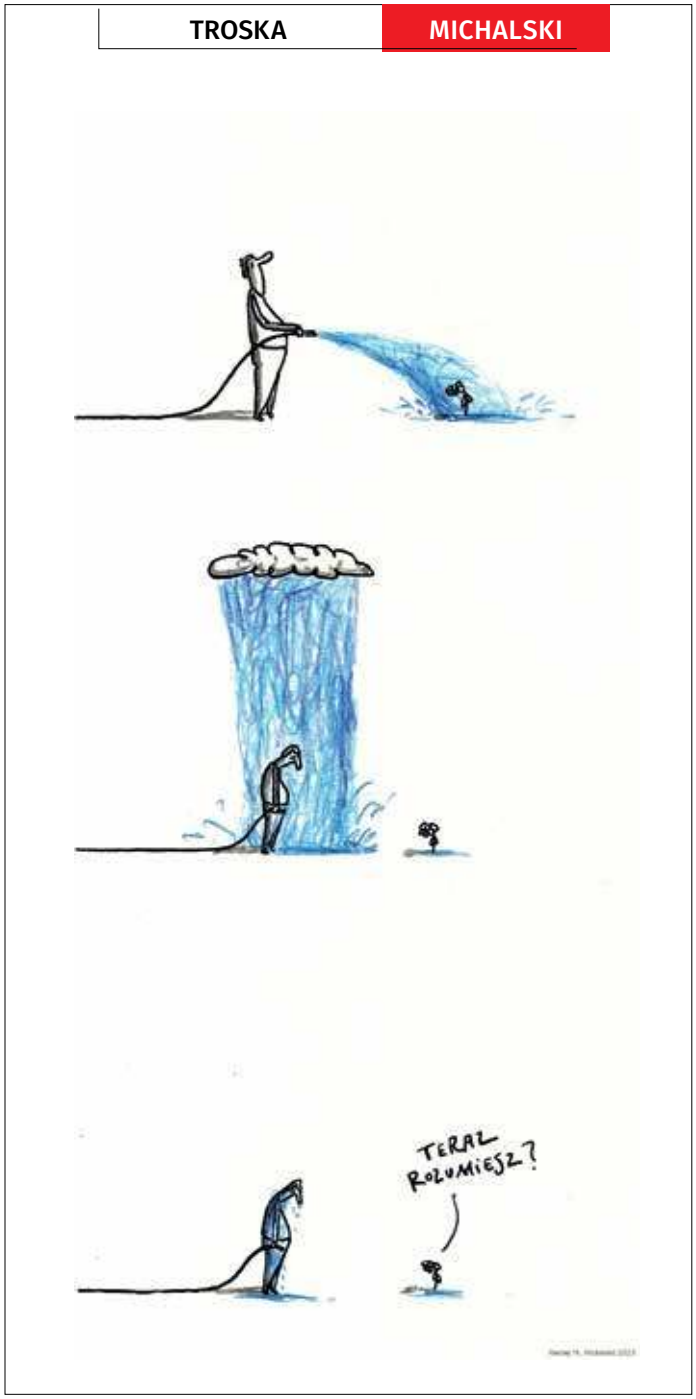

eprasa.pl ac5f701e87

Wszystko z doskoku, doraźnie

– Nie ma w Polsce firmy, która produkowałaby samoloty pasażerskie. Nie mamy też produkcji samolotów wojskowych, jedynie śmigłowce. Branża lotnicza ma w naszym kraju potencjał na rozwój, ale potrzebne jest wparcie rządu – mówi **Andrzej Kuchta** w rozmowie z **Jakubem Pacanem**.

Fot. M. Żegliński

– W lutym przed siedzibą „PZL-Świdnik" odbył się protest. Pracownicy domagali się wyższych pensji. Mamy lato, jak teraz wygląda sytuacja?

– To były właściwie dwa protesty. Jeden dotyczył kwestii płacowych w „PZL", drugi dotyczył naszego podwykonawcy, który świadczy usługi logistyczne na rzecz „PZL-Świdnik". W tamtej firmie doszło również do strajku dotyczącego płac. W „PZL-Świdnik" zakończyliśmy bardzo długie i trudne negocjacje porozumieniem, po raz pierwszy zakończyliśmy je z udziałem mediatora wyznaczonego przez ministra pracy. Finalnie doszło jednak do podpisania porozumienia. W mojej ocenie to porozumienie jest dosyć dobre. Oczywiście przy negocjacjach nie jest tak, że dwie strony są zadowolone, bo obie muszą z czegoś ustąpić i spotkać się w środku, ale uważam, że ostatecznie wynegocjowane warunki są satysfakcjonujące dla załogi.

– Jak wygląda dzisiaj przemysł lotniczy w Polsce?

– Na ten moment stan przemysłu lotniczego mogę określić jako dobrą stabilizację. Były pewne perturbacje i problemy, choćby u kolegów z Krosna, gdzie przez globalne problemy Boeinga, dla którego są poddostawcą, dokonano zwolnień grupowych, ale większość zakładów pracy skupionych w Krajowej Sekcji Przemysłu Lotniczego NSZZ „Solidarność" funkcjonuje stabilnie. Lotnictwo jest jednak branżą, gdzie trzeba myśleć na kilka lat do przodu, ponieważ to, co robimy, ma także okres żywotności i resursów i trzeba myśleć o kolejnych zamówieniach i kontraktach, które będą realizowane za dwa, trzy lub pięć lat. Potencjał zamówień na rynek polski jest dosyć duży, ale czujemy konkurencję zagranicznych firm lotniczych, które w Polsce nie mają zakładów produkcyjnych. Naszym zadaniem jest walczyć o miejsca pracy i o zamówienia dla zakładów, które są ulokowane w Polsce i zatrudniają polskich pracowników.

– Chyba brakuje zainteresowania przemysłem lotniczym w kręgach rządowych i naszej klasy politycznej. Spotkał się Pan z myśleniem u polityków o ekspansji tego przemysłu na zewnątrz?

– Gdyby to myślenie było, to my jako pracownicy czy związkowcy nie musielibyśmy walczyć o zamówienia i to na rynek wewnętrzny, szczególnie w sytuacji, gdy polski rząd wydaje miliardy złotych z polskiego budżetu na potrzeby polskiego rynku,

eprasa.pl ac5f701e87

czy to wojskowego, czy cywilnego. Od wielu lat widzimy brak planu, który byłby systematycznie i konsekwentnie realizowany. Wszystko jest z doskoku, doraźnie, w zależności, kto jest przy władzy, jakie ma zapatrywania geopolityczne. Bardzo dużo zależy od lobbingu, które państwa mają akurat większą siłę przebicia w Polsce, a które mniejszą. Ale przez taką sytuację nasza aktywność związkowa jest tutaj niezbędna. Obrazuje to ostatni przykład, czyli kontrakt na samoloty pasażerskie, który został podpisany i do którego startowały dwie firmy: brazylijska i europejska. W moim przekonaniu jako pracownika i związkowca dobrze, że będzie go realizował Airbus, ponieważ firma ma zakład produkcyjny w Polsce [Airbus Poland], i mam nadzieję, że jakąś część pracy przy tych samolotach dostaną nasi koledzy na Okęciu.

– Rynek lotnictwa cywilnego to pięta achillesowa tej branży?

– Nie ma w Polsce firmy, która produkowałaby samoloty pasażerskie. Mamy sporo przedsiębiorstw, które produkują na rynek prywatny. Dolina Lotnicza produkuje częściowo na rynek cywilny. Są to jednak podzespoły lub małe samoloty cywilne. Nie mamy też w Polsce produkcji samolotów wojskowych, jedynie śmigłowce.

– Jak na tym zróżnicowanym i trudnym rynku lotniczym traktowany jest pracownik?

– Nie ma jednej odpowiedzi. Sytuacja pracowników zależna jest od tego, co się dzieje na rynku. Jeżeli teraz mamy stabilną sytuację, to pracownicy nie są poszkodowani. Ogólnie rynek pracy w przemyśle lotniczym jest teraz dobry. Ale np. w pandemii straciliśmy 40 proc. zamówień i też musieliśmy odpowiedzialnie zgodzić się na skrócenie czasu pracy i obniżenie wynagrodzeń. To była trudna decyzja, ale pracownicy przyjęli ją ze zrozumieniem, bo trzeba było chronić miejsca pracy i płynność finansową firmy. Po pandemii wszystko jednak wróciło do poprzedniego stanu. Oczywiście dużo zależy od drugiej strony, czyli pracodawcy, a należy w tym miejscu zaznaczyć, że niemal 100 proc. branży to firmy prywatne. Bywają trudne momenty, ale finalnie dogadujemy się, i myślę, że w ogólnej ocenie pracownicy są zadowoleni z warunków pracy, jakie mają.

NIE MA W POLSCE FIRMY, KTÓRA PRODUKOWAŁABY SAMOLOTY PASAŻERSKIE.

NAWET NASI PRACODAWCY W ROZMOWACH Z NAMI MÓWIĄ, ŻE RYNEK MA POTENCJAŁ NA ROZWÓJ, ALE JEST ZANIEDBANY. BRAKUJE STRATEGII I MYŚLENIA WPRZÓD.

– Polski przemysł lotniczy ma ponad 100 lat, mamy know-how, naukowców. Zapytam jeszcze raz – czy jest jeszcze potencjał, by branża się rozwinęła?

– Potencjał na pewno jest, ale potrzebne jest wsparcie finansowe w obszarze B+R [badania i rozwój] i administracyjne od państwa. Naszych produktów nie robi się z dnia na dzień, do stworzenia czegoś nowego potrzeba lat. Nawet nasi pracodawcy w rozmowach z nami mówią, że rynek ma potencjał na rozwój, ale jest zaniedbany. Brakuje strategii i myślenia naprzód. Wygląda na to, że państwo powoli zaczyna zdawać sobie z tego sprawę, ponieważ ostatnio jeden z wiceministrów rozwoju i technologii, który odwiedzał zakłady lotnicze w Polsce, mówił o kontrakcie branżowym dla przemysłu lotniczego, który powstaje. Ma on wyznaczyć kierunek współpracy państwa z przemysłem lotniczym oraz dotyczyć m.in. finansowania prac badawczo-rozwojowych, kształcenia kadr, transformacji technologicznej i rozwoju przemysłu lotniczego w Polsce. Na jesieni powinien ujrzeć światło dzienne. Nie znamy założeń tego programu, ale mam nadzieję, że rzeczywiście będzie ukierunkowany na rozwój i wsparcie rodzimych firm. Niestety nie mamy też możliwości porozmawiania o potrzebach i przyszłości przemysłu lotniczego w naszym kraju, ponieważ kontakt ze stroną rządową jest utrudniony, nie odpowiada ona na nasze pisma i trudno się spotkać nawet na forum powołanego przy Ministerstwie Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej Zespołu Trójstronnego ds. Rozwoju Przemysłowego Potencjału Obronnego i Modernizacji Technicznej Sił Zbrojnych.

Andrzej Kuchta – przewodniczący NSZZ „Solidarność" w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego „PZL-Świdnik" SA, członek Rady Dialogu Społecznego z ramienia Solidarności.

eprasa.pl ac5f701e87

OSTRE prezydenckie otwarcie

Karol Nawrocki właśnie buduje swój polityczny obóz. Z jednej strony ma być niezależny od prezesa PiS, z drugiej **konsolidować prawicę**. To oczywiście już wywołuje potężne tarcia.

Mariusz Staniszewski

Na chwilę obecną głównym polem politycznej walki jest próba zablokowania objęcia funkcji prezydenta przez Karola Nawrockiego. Co prawda, marszałek Sejmu Szymon Hołownia zapowiedział, że zwoła posiedzenie Zgromadzenia Narodowego na 6 sierpnia, na którym nowa głowa państwa ma złożyć przysięgę, ale politycy PO starają się wywierać presję, by jednak do tego nie dopuścić.

Choć antydemokratyczna szarża Romana Giertycha, Adama Bodnara, Bartosza Arłukowicza i Donalda Tuska przynosi tej formacji ogromne spadki poparcia, to jednak na dziś nie wydaje się, by byli w stanie wyhamować. Tak bardzo rozhuśtali emocje elektoratu oraz najbliższego zaplecza (prawników, celebrytów, artystów), że teraz stali się ich zakładnikami.

Dla samego Nawrockiego to sytuacja w pewien sposób komfortowa. Może przyglądać się, jak polityczni przeciwnicy wykrwawiają się w coraz bardziej beznadziejnej walce, oraz jednocześnie we względnej ciszy budować swoją kancelarię.

Spór wpisany w system

O tym, że relacje na linii Nawrocki – Tusk będą napięte, wiedzieliśmy

eprasa.pl ac5f701e87

Prezydent elekt Karol Nawrocki przedstawia skład Biura Bezpieczeństwa Narodowego; Warszawa, 3 lipca br.

Fot. Adam Chełstowski / Forum

już pierwszego dnia po wyborach. Na ostatniej prostej kampanii premier przeprowadził rozpaczliwy atak na kandydata prawicy z nadzieją, że to zatrzyma jego rosnące poparcie. Nie zatrzymało. Nie mogąc się pogodzić z porażką, Tusk zaczął więc kwestionować wynik wyborów. Też bezskutecznie. Poczucie przegranej będzie więc w nim siedziało długo.

Prezydent elekt także nie pozostawia wątpliwości. Mówi wprost, że Tusk to najgorszy premier III Rzeczpospolitej. Nie za bardzo kryje się też z chęcią wywrócenia większości tworzącej koalicję.

W tej sytuacji najistotniejsze są kontakty na linii prezydent – Jarosław Kaczyński, który właśnie został ponownie wybrany na prezesa PiS. Jako szef największej partii opozycyjnej, która jest pretendentem do uzyskania władzy w najbliższych wyborach parlamentarnych, oraz osoba, której Nawrocki zawdzięcza prezydenturę, ma uzasadnione roszczenia do tego, by mieć wpływ na obsadę stanowisk w Kancelarii Prezydenta. Tyle że wdzięczność w polityce jest zjawiskiem rzadkim, by nie powiedzieć unikalnym.

Jeśli Nawrocki rzeczywiście myśli o tym, by prowadzić samodzielną politykę, musi odciąć PiS-owską pępowinę i dobierać współpracowników bez oglądania się na Kaczyńskiego. Dlatego najpierw odrzucił możliwość zatrudnienia w swojej kancelarii Marka Kuchcińskiego, zaufanego wiarusa prezesa PiS, a teraz rezygnuje – taka przynajmniej panuje opinia w Prawie i Sprawiedliwości – z kandydatury prof. Przemysława Czarnka. Powodem jest objęcie przez niego funkcji wiceprezesa PiS. Prezydent elekt nie chce, by jego polityka była przedłużeniem działań kierownictwa partii, a szef Kancelarii Prezydenta był pasem transmisyjnym z Nowogrodzkiej do Pałacu. Zwłaszcza że ambicje Nawrockiego sięgają znacznie dalej niż realizowanie agendy PiS.

To już wywołuje poważne napięcia w relacjach z Jarosławem Kaczyńskim, a z pewnością w najbliższych tygodniach konflikt się zaostrzy.

Szeroki obóz prawicy

Nawrocki doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że kluczowe dla pokonania Rafała Trzaskowskiego było poparcie wyborców Konfederacji i Grzegorza Baruna. Jeśli teraz się od nich odwróci, za pięć lat nie będzie mógł marzyć o powtórzeniu sukcesu. Zwłaszcza że – wiele na to wskazuje – kolejne wybory mogą odbywać się w sytuacji, gdy PiS będzie partią rządzącą lub współrządzącą. Wówczas ostrze krytyki młodych wyborców popierających Sławomira Mentzena może być skierowane właśnie przeciw tym, którzy sprawują władzę.

W dotychczasowych działaniach prezydenta elekta widać chęć zbudowania trwałej współpracy na polskiej prawicy. Szczególnie między PiS i Konfederacją. Jeśli ten cel udałoby mu się zrealizować, stałby się automatycznie liderem większego obozu politycznego. Tacy politycy jak prof. Czarnek mają własne ambicje polityczne i niekoniecznie chcieliby realizować plan Nawrockiego. Szczególnie że sam Czarnek liczy na funkcję premiera w przyszłym rządzie, więc swoją lojalność musi raczej lokować po stronie Jarosława Kaczyńskiego.

Na razie wiadomo, że funkcję szefa gabinetu prezydenta obejmie Paweł Szefernaker, który kierował kampanią Karola Nawrockiego, a jego zastępcą ma zostać Jarosław Dębowski, dyrektor biura prezesa Instytutu Pamięci Narodowej.

O profilu nowego ośrodka władzy mogą świadczyć jednak dwie inne nominacje. Zastępcą szefa Kancelarii ma zostać Karol Rabenda, polityk związany z Adamem Bielanem, ale wcześniej działający znacznie bardziej na prawo od PiS, np. w Unii Polityki Realnej, a także Adam Andruszkiewicz, który odpowiadał za kampanię Nawrockiego w internecie. Andruszkiewicz zanim znalazł się w szeregach PiS, był prezesem Młodzieży Wszechpolskiej oraz działał w Ruchu Narodowym.

Te dwie nominacje pokazują, że nowy prezydent będzie starał się mieć bliskie kontakty ze środowiskami

eprasa.pl ac5f701e87

na prawo od PiS. Zwłaszcza że możliwe jest objęcie ważnej funkcji w Pałacu przez polityka Konfederacji.

Jeśli projekt budowy prezydenckiego ośrodka władzy w oparciu o kilka środowisk prawicowych się powiedzie, Nawrocki może zostać akuszerem nowej koalicji rządowej. To dawałoby mu bardzo silną pozycję na polskiej scenie politycznej.

Nowy prezydent nie chce popełnić błędu ustępującego Andrzeja Dudy, który nie odgrywał znaczącej roli w polityce wewnętrznej. Po skonfliktowaniu się z Jarosławem Kaczyńskim nie posiadał zdolności przyciągania innych – poza PiS – środowisk prawicowych.

Siłą rzeczy całą uwagę skupił na polityce zagranicznej, w której zanotował zresztą spore sukcesy.

Wyjątek w Europie

Prezydent elekt po objęciu urzędu będzie prawdopodobnie najbardziej prawicowym przywódcą w Europie. A już z pewnością wśród głów państw i szefów rządów największych krajów Unii Europejskiej. Siłą rzeczy jego działania, zwłaszcza w kwestiach relacji ze Stanami Zjednoczonymi, bezpieczeństwa i pogłębienia integracji UE, będą szczególnie bacznie obserwowane.

Dlatego dobrą informacją jest pozostawienie w kancelarii prezydenta Wojciecha Kolarskiego, który od lutego tego roku jest szefem Biura Polityki Międzynarodowej. Do Pałacu Prezydenckiego wróci także Marcin Przydacz, który wcześniej pełnił tę samą funkcję. To właśnie on towarzyszył Nawrockiemu w drodze do Brukseli na spotkanie z sekretarzem generalnym NATO Markiem Rutte.

Kolarski i Przydacz to nie tylko doświadczeni dyplomaci, ale także przedstawiciele nowego pokolenia prawicy. Pierwszy ma 53 lata, drugi 40. Dla nich Unia Europejska nie jest spełnieniem marzeń, ale zwykłym forum prowadzenia polityki. Brak kompleksów wobec krajów starej Unii i bezwzględne traktowanie interesu Polski jako priorytetu bardzo współgra z politycznym programem Karola Nawrockiego. Dodatkowym wzmocnieniem kwestii UE ma być wieloletni europoseł Jacek Saryusz-Wolski, którego nowy prezydent także chciałby mieć u siebie.

Nawrocki zdaje sobie sprawę z tego, że kluczowym jego zadaniem będzie utrzymanie bliskich kontaktów z Białym Domem. Ma to fundamentalne znaczenie dla bezpieczeństwa naszego bezpieczeństwa, ale również dla pozycji Polski w UE. Początek współpracy z Donaldem Trumpem nowy prezydent miał dobry, ale teraz konieczne będzie przełożenie tego na praktykę. Aby polskie cele w Waszyngtonie były realizowane, konieczny będzie kompromis z rządem w sprawie obsady stanowiska ambasadora Rzeczpospolitej. Przydacz i Kolarski są zdolni do przełamania impasu w tej sprawie.

PRZY OBSADZANIU STANOWISKA SZEFA BBN ANDRZEJ DUDA POPEŁNIŁ FUNDAMENTALNY BŁĄD, POWOŁUJĄC NA NIE JACKA SIEWIERĘ, POLITYKA OBIECUJĄCEGO, ALE NIELOJALNEGO.

Armia, czyli oczko w głowie

Jedną z najważniejszych prerogatyw głowy państwa jest zwierzchnictwo nad siłami zbrojnymi. W tym zakresie politykę prezydent sprawuje poprzez Biuro Bezpieczeństwa Narodowego.

Przy obsadzaniu stanowiska szefa BBN Andrzej Duda popełnił fundamentalny błąd, powołując na nie Jacka Siewierę, polityka obiecującego, ale nielojalnego.

Karol Nawrocki raczej tego błędu nie popełni. Nominacja prof. Sławomira Cenckiewicza, byłego dyrektora Wojskowego Biura Historycznego, jest dowodem, że w tej kwestii nie będzie mowy o żadnych miękkich rozwiązaniach. Cenckiewicz to człowiek znienawidzony przez Lecha Wałęsę za ujawnienie jego współpracy z bezpieką. Dodatkowo obecna władza, którą Wałęsa stawia na piedestale, oskarża historyka o ujawnienie tajemnicy państwowej. Chodzi o podanie do publicznej wiadomości informacji, że w razie inwazji rosyjskiej rząd Donalda Tuska dopuszczał oddanie najeźdźcom połowy Polski i obronę dopiero na linii Wisły. Cenckiewicz ujawnił także kontakty i powiązania służb specjalnych za poprzednich rządów Tuska ze służbami specjalnymi Federacji Rosyjskiej oraz zdemaskował politykę resetu z Władimirem Putinem.

Ta nominacja z pewnością nie ułatwi współpracy z obecnym rządem, ale będzie też jasnym sygnałem, że nie może być mowy o żadnych próbach nowego resetu z Moskwą, nawet jeśli żądać tego będą Niemcy.

Obraz, jaki otrzymujemy z dotychczasowych nominacji w Pałacu Prezydenckim, pokazuje nam, że nowe pokolenie polityków zaczyna na dobre przejmować władzę. Bez wątpienia znacznie większy potencjał intelektualny, osobowościowy i programowy znajduje się po prawej stronie niż po lewej. Warto wspomnieć, że gdyby wybory wygrał Rafał Trzaskowski główne role w Pałacu ogrywaliby Sławomir Nitras i Barbara Nowacka.

eprasa.pl ac5f701e87

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA

Elita jest fajna

Jan Wróbel

Zamieszanie towarzyszące używaniu słowa „prawica" ma kilka źródeł. W ostatnich latach uderza, że podstawowym kryterium oceny czyjejś prawicowości jest stopień nasycenia wrogością do elit. Polska jest tego dobrym przykładem. W narracji dominującej, przynajmniej w internecie, prawicowym Polakiem jest ten, kto syczy na „salon", „kastę", „establishment" i „elyty". Tak oto prawicowcem nie jest Bronisław Komorowski, zwolennik wolnego rynku i przykładny patriarcha licznej, z Kościołem związanej rodziny, a przy tym polityk, który wspierał kult Żołnierzy Niezłomnych – bo przecież jest w PO, a zatem w „elicie" broniącej kasty. Prawicowcem jest za to dowolny związkowiec – zwolennik pastwa socjalnego czy libertarianin żyjący w entym związku partnerskim – byle tylko pomstowali na polskie elity.

Sprawa nie jest błaha. Nawet jeżeli założyć, że uprzywilejowanych nie ma co żałować z zasady i pamiętać przy tym, że zazwyczaj funkcjonowaniu elit towarzyszy egotyzm i zadarty nos. Nie jest błaha, ponieważ akurat dla prawicy zdrowej psychicznie elita jest naturalnym punktem odniesienia... pozytywnego. Pracuj ciężko w szkole, edukuj się po szkole, zostań profesorem. Haruj – i zostań ordynatorem. Bądź kreatywny i zostań milionerem. Pamiętaj o narodowych bohaterach. A jak założysz rodzinę, naczytaj się wartościowych poradników i obdarz dzieci mądrą miłością. O ile lewica ma odwieczną chętkę, by obiecywać ludziom drogę na skróty – pójdziesz w górę bez własnej zasługi, państwo popchnie cię w górę, tylko zagłosuj na nas, prawica stawia na egzystencjalną prawdę. Samo się nie zrobi. Dawaj, Hanka, zakasuj rękawy i do roboty.

O ILE LEWICA MA ODWIECZNĄ CHĘTKĘ, BY OBIECYWAĆ LUDZIOM DROGĘ NA SKRÓTY – PAŃSTWO POPCHNIE CIĘ W GÓRĘ, TYLKO ZAGŁOSUJ NA NAS, PRAWICA STAWIA NA EGZYSTENCJALNĄ PRAWDĘ.

Na dodatek wiele z zachowań, które pochwalamy, ładnie się wyrobiły na górze, a nie na dole. Ogłada towarzyska, umiejętność prowadzenia rozmów w delikatnych sprawach, docenianie lektury i muzyki przez duże „M" to tylko przykłady. Tak, wiem. Niejeden człowiek z elit błyszczy chamstwem albo niegramotnością (może zatem jego przynależność do elity jest pozorna?). Ale zobaczcie, jak często się zdarzało i zdarza, że rodzina z tzw. normalnego ludu, mająca naturalny dar od Pana Boga – roztropności i miłości – poszerzając horyzonty, brała w niektórych sprawach wzór z góry. Karnet do filharmonii, półka na książki, może nawet weekendowe szkolenie z komunikacji interpersonalnej. I fajnie.

Elitami, bywa, dobrze jest potrząsać. Zupełnie nie ma powodu, by odruchowo je podziwiać, tylko dlatego że ładniej jedzą bezę. Są one jednak, a przynajmniej, zazwyczaj są one, wartościowym komponentem ładu społecznego. Czym innym jest krytyka wad, a czym innym bulgotanie o łże-elitach i projekcje budowania lepszego świata, kiedy wreszcie bonżury poginą jak dinozaury. À propos – bolszewicy wykończyli arystokrację, co jednak nie czyni z bolszewików prawicowców (a Rosji nie uczyniło rajem).

eprasa.pl ac5f701e87

Koń, który kręci Tuskiem... i pędzi z nim w przepaść

I oto mamy paradoks: Platforma, która miała być ostoją rozsądku i europejskości, zaczyna przypominać kabaret. A wszystko przez jednego konia bojowego, który zapragnął kręcić wozem. I – co gorsze dla samej partii władzy – na samym tym pragnieniu **nie zamierza poprzestać**.

Andrzej Gajcy

Fot. Jacek Szydłowski / Forum

Koń, jaki jest, niby każdy widzi – ale gdy chodzi o Romana Giertycha, najwyraźniej nie widzą go ci, których właśnie z impetem strąca z siodła. Bo Giertych, ten sam, który kiedyś zakładał Młodzież Wszechpolską i jako lider Ligi Polskich Rodzin śnił o IV Rzeczypospolitej z katolicką buławą w dłoni, dziś z rozmachem realizuje swój ambitny polityczny plan.

Tym razem nie chodzi już tylko o obronę przed złym Zbigniewem Ziobrą czy Jarosławem Kaczyńskim ani o występy w telewizji z ironicznym uśmieszkiem i Konstytucją pod pachą. Dziś Roman Giertych, wjeżdżając na polityczny parkiet jako domorosły strateg Koalicji Obywatelskiej, uchodzący co raz częściej w partii rządzącej za człowieka „numer dwa" tuż po samym „kierowniku" Donaldzie Tusku, chce więcej.

Po 1 czerwca widzi to w Platformie w zasadzie już każdy, zdając sobie dobitnie sprawę, że Romanowi chodzi tak naprawdę o przejęcie rządu dusz,

eprasa.pl ac5f701e87

być może w pewnej przyszłości, w której nie będzie Donalda Tuska, także samej partii. Mówiąc inaczej: zamiast dyskretnego wpływu zza kulis Giertych chce bezceremonialnie przejąć lejce.

Nie od dziś wiadomo, że polityk ten nigdy nie przychodzi po coś małego. Nie po to walczył w 2023 roku o mandat z list KO, by teraz grzać sejmową ławę w odległym rzędzie. To więcej niż pewne. Choć wielu widziało wtedy w tym tylko taktyczne zagranie Tuska: „Skuteczny adwokat, donośny głos, niech się przyda w kampanii".

Ale Giertych z tego wsparcia zrobił trampolinę. Wskoczył do Sejmu i zajął się organizowaniem emocji tej części elektoratu, która nie tyle głosuje za czymś, co przeciw czemuś – przeciw PiS, przeciw symetrystom, przeciw temu całemu dziwacznemu światu, w którym trzeba kogoś nie znosić, żeby czuć sens polityki. Wie, że Silni Razem to nie jakaś tam farma trolli z Twittera. To ideologiczna kawaleria, która żyje jednym uczuciem – czystym, nieprzerobionym antypisem. Dla nich PiS to już nie tylko polityczny przeciwnik – to zło wcielone. A Giertych to ich samozwańczy generał.

Dziś Giertych chce ten gniew przekuć w coś trwałego – w instytucję. W ruch. W polityczną machinę, która będzie miała swoje nazwiska, swoje usłużne, będące na jeden telefon media, swoich ekspertów, swoje emocje i – przede wszystkim – swoje żądania. A że emocje to nie byle jakie, to i walka będzie odpowiednio gwałtowna. Już to zresztą widzimy.

W ostatnich tygodniach Giertych wrzucił na polityczny stół coś, czego nawet najważniejsi politycy Platformy się nie spodziewali. A już na pewno nie w takiej skali. Porażka w wyborach prezydenckich kandydata PO Rafała Trzaskowskiego, która dla większości obozu rządzącego była jak walnięcie czołem o beton, dla Giertycha i jego oddziałów stała się... szansą.

Gdy KO popadła w chwilową depresję po przegranej Trzaskowskiego, a pozostali jej kandydaci odpadli z hukiem już w pierwszej turze, zostając daleko z tyłu za Sławomirem Mentzenem czy Grzegorzem Braunem, Silni Razem, na czele ze swoim generałem, jakby dostali nowe życie. Przegrana? Nie ma mowy. To musiało być oszustwo!

Ot, rzucona myśl. Ale wystarczyło. Silni Razem, ta hejterska kawaleria, podchwyciła temat jak konie wodę po biegu. Wystarczyło tylko rzucić hasło, a kawaleria już pędziła, wrzeszcząc o fałszerstwie, zdradzie, spisku. Znów można było walić prosto w PiS – teraz nie za „złodziejstwo", ale za „kradzież wyborów". Przecież nie chodzi o dowody – chodzi o emocję. O rozgrzanie silniczków. O anty-PiS w wersji turbo. Bo skoro przegraliśmy, to musieli oszukać. No bo jak inaczej?

Zresztą sam Roman Giertych nie owijał w bawełnę. Wprost mówił o „Braciach Kamratach", którzy mieli ukraść dla Jarosława Kaczyńskiego wybory. Publicznie podważał wynik demokratycznego głosowania, wrzucając tezy o fałszerstwach, insynuował zamach na legalność państwa. To już nie jest niedopowiedziane „może coś tu nie gra" – to wrzucenie otwarcie granatu do studni zaufania społecznego. Bo jeśli w wyborach „ukradziono" zwycięstwo, to przecież cały system staje się nielegalny.

Cóż z tego, że skala oskarżeń ocierała się momentami o filmowy Gang Olsena. Jakim cudem opozycja sfałszowała wybory, siedząc w ławach opozycji? Na marginesie, to byłby pierwszy taki przypadek w historii świata. Ale kto by się przejmował tą logiką! Emocje grają, klikają się posty, pompuje się gniew, a „swoi" redaktorzy nagrywają na ten temat kolejne programy i nośne podcasty. Propaganda sfałszowanych wyborów się rozkręca.

Problem w tym, że ta emocja – choć nośna – politycznie zaczęła być toksyczna. Sondaż dla „Rzeczpospolitej" mówi wprost: blisko 60 proc. Polaków chce ponownego przeliczenia głosów. Nie dlatego, że są twarde i niezbite dowody na wyborcze fałszerstwa, które istotnie mogłyby zmienić wynik wyborów prezydenckich. Bo ich nie ma, co przyznał już sam Donald Tusk, a także pozostali koalicjanci. Ale dlatego że mimo tej wiedzy i tych faktów Giertych i jego ekipa sączą dalej niepewność jak jad – codziennie, systematycznie, skutecznie. W kraju, który właśnie miał odzyskać zaufanie do instytucji, znowu kiełkuje podejrzliwość. I to już nie „wina PiS". To zasługa pana Romana.

JEŻELI TWARZĄ PARTII STAJE SIĘ BYŁY LIDER LPR, TO PARTIA ZACZYNA MIEĆ NOTOWANIA ZBLIŻONE DO... LPR.

Na tym politycznym sabacie Koalicja Obywatelska jednak nie zyskuje, a ostatni sondaż preferencji partyjnych jest dla Giertycha jak kubeł zimnej wody. Koalicja Obywatelska traci 7 punktów procentowych. Sondaż nie kłamie! To nie błąd statystyczny – to koszt, jaki płaci się za wystawienie Giertycha na afisz. Bo jeżeli twarzą partii staje się były lider LPR, to partia zaczyna mieć notowania zbliżone do... LPR. A to, umówmy się, nie był

eprasa.pl ac5f701e87

nigdy poziom, który dawał spokojny sen sztabowcom. Bowiem w wyborach nie wygrywa się na wiecznym wzmożeniu. Wygrywa się zaufaniem, stabilnością, wiarygodnością. Tymczasem PO, wystawiając Giertycha na pierwszy front, zamiast wyglądać jak partia władzy, zaczyna przypominać kabaret.

Jednak na tym nie koniec problemów. Platforma nie tylko dziś traci poparcie – zaczyna się ocierać o śmieszność. A to najgorsze, co może przydarzyć się partii władzy. Bo wyborcy wybaczą wiele – arogancję, nieudolność, nawet hipokryzję – ale śmieszności nie wybaczają nigdy.

Tymczasem Giertych, podważając tak otwarcie i wprost legalność wyborów, mówi głosem, który jeszcze niedawno był domeną politycznego folkloru i happeningu spod znaku choćby Janusza Korwin-Mikkego. I oto mamy paradoks: Platforma, która miała być ostoją rozsądku i europejskości, zaczyna przypominać kabaret. A wszystko przez jednego konia bojowego, który zapragnął kręcić wozem. I – co gorsze dla samej partii władzy – na samym tym pragnieniu nie zamierza poprzestać.

W PO wielu doskonale wie, że władza może popełnić wiele błędów, ale utrata powagi to błąd śmiertelny. Bo wyborcy nie głosują na tych, z których się śmieją. Nawet jeśli kiedyś byli ich ulubieńcami. A z Giertycha śmieje się już pół kraju – i nie z jego żartów, tylko z niego samego. Wściekłość zmieszana z groteską to przepis na katastrofę. I właśnie w tej katastrofie pędzi dziś wóz Koalicji, ciągnięty przez konia, który nie zna drogi, ale zna kierunek: do przodu, w emocje, na złamanie karku.

I tu pojawia się pytanie: co z takim koniem zrobić? Co ma zrobić Donald Tusk – lider partii i premier? Schować go do stajni, zaciągnąć w cień, udawać, że to tylko niesforny backbencher? A może, mimo wszystko, dalej pozwalać mu brykać, bo „dobrze się klika”? To dylemat, przed którym staje dziś Tusk – człowiek znany z dyscypliny, ale i z talentu do czekania na odpowiedni moment.

Giertych, jeśli zostanie na scenie, nie przestanie sączyć niepewności. Może nie podważy już oficjalnie wyniku wyborów – ten etap, nawet w emocjonalnym świecie Silnych Razem, raczej się zamknął – ale może robić coś znacznie bardziej niebezpiecznego: będzie destabilizował rzeczywistość, podtrzymując atmosferę wyborczego oszustwa.

W tym sensie Giertych może być dziś tym, czym niegdyś – według Piotra Zaremby – był cały „przemysł pogardy”. Nie frontalnym atakiem, ale kroplówką nieufności wobec nowego prezydenta Karola Nawrockiego. Już nie chodzi o sądy czy wybory, tylko o uczucia: „Czy on aby na pewno jest legalny?”, „Czy można mu ufać?”, „Czy on przypadkiem nie wygrał przy pomocy... czegoś nieczystego?”. A wszystko po to, by móc go bezkarnie deprecjonować i ośmieszać, jak niegdyś robił to skutecznie Janusz Palikot z prezydentem Lechem Kaczyńskim.

Taki koń, choć może się Platformie wydawać użyteczny w krótkim biegu, w dłuższej perspektywie stanie się zapewne kulą u nogi. Bo ciągle buja wozem i zwyczajnie szkodzi partii. Szaleństwo Giertycha i całej kawalerii Silnych Razem może Platformę wciągnąć w polityczną przepaść. Dziś to oni są najbardziej hałaśliwą frakcją. Dziś nadają ton – radykalny, histeryczny, oderwany od rzeczywistości. Ale jutro ten ton stanie się kulą u nogi całej partii. Bo o ile opozycja może sobie pozwolić na krzyk i teatr, to władza musi być poważna. Gdy przestaje – traci. Wiarygodność, zaufanie, a w końcu władzę.

Dziś tuż po wyborach prezydenckich Koalicja Obywatelska ryzykuje, że przegra więcej niż opozycja. Bo odpowiedzialność ciąży zawsze na tych, którzy rządzą. Jeśli Giertych i jego silniczki będą dalej rozkręcać antypisową burzę w tempie, w jakim robią to dziś, to nie tylko nie odzyskają niczego – spalą własny dom. A wtedy historia zapamięta ich nie jako tych, którzy obalili PiS, ale jako tych, którzy przez swój fanatyzm oddali mu władzę na nowo.

Więc pytanie jest już nie „czy”, tylko „kiedy” – kiedy Donald Tusk powie „dość”? Czy lider Platformy pozwoli Giertychowi dalej rozsadzać zaufanie publiczne od środka? Czy będzie go tolerował jako jadowitego frontmana? Czy może wreszcie zrozumie, że ten koń, choć głośny, ciągnie wóz prosto w przepaść?

A może Tusk – jak kiedyś wobec Palikota – zdecyduje się odciąć, zneutralizować, wysłać w polityczny niebyt. Tusk stoi więc dziś przed decyzją: czy zostawić Giertycha jako frontmana radykalnej frakcji i ryzykować, że Platforma straci więcej, niż kiedykolwiek zyskała? Czy jednak grzecznie odprowadzić do wyjścia i powiedzieć: „Dzięki, Roman. Dalej pójdziemy sami”? Bo zbliżamy się do zakrętu, za którym nie będzie już drogi powrotnej.

SZALEŃSTWO GIERTYCHA I CAŁEJ KAWALERII SILNYCH RAZEM MOŻE PLATFORMĘ WCIĄGNĄĆ W POLITYCZNĄ PRZEPAŚĆ.

eprasa.pl ac5f701e87

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Monika Małkowska

Dlaczego nie oni?

Miałam odebrać to odznaczenie dwa tygodnie wcześniej. Zdarzyło się jednak, że w tym czasie „byłam wyjechana" poza Polskę. Zostałam więc przepisana na inną uroczystość, która odbyła się 25 czerwca w ogrodach Belwederu. I przypadkiem znalazłam się w gronie nieznanych mi ludzi, wyróżnionych przez prezydenta RP za działalność opozycyjną w czasach komuny, zwłaszcza po 1981 roku. Po 35 latach usłyszeli kilka słów podziękowania za pracę na rzecz „odkomuszenia", które nam się kiedyś, naiwniakom, mamiło. Nie będę snuć rozważań „Dlaczego ja?", jak zrobił to nasz redakcyjny kolega, nieco wcześniej uhonorowany wysoką państwową dystynkcją. Mam inne pytania: dlaczego o tak wielu zasłużonych postaciach nikt dotychczas nie pamiętał? I dlaczego jedni niegdysiejsi działacze obrośli w sławę, apanaże i sadło, inni zaś pozostali w cieniu i w biedzie? Większość z tych, z którymi połączyła mnie wzmiankowana powyżej okazja, była w wieku późno senioralnym. Nie wyglądali na takich, którzy cieszą się złotą jesienią życia, pozbawieni finansowych trosk. W niejednym przypadku krzyże zasługi odbierała w imieniu zmarłych najbliższa rodzina. Wielu z tych pozostających w cieniu opozycjonistów należało do Solidarności różnych pozawarszawskich środowisk, toteż nie wiedziałam, jaką cenę płacili za sprzeciw wobec czerwonej władzy. Że tak było, dowiedziałam się z krótkiego wystąpienia ministra Andrzeja Dery. A także z zasłyszanej przypadkowo rozmowy usadowionych tuż przede mną uczestników gali. Oni akurat, zanim przeszli w stan spoczynku, pracowali naukowo na uczelniach. Doświadczyli interny w stanie wojennym, nigdy im się nie przelewało, jednak nie ma co narzekać, bo przecież ojczyznę wolną mamy...

Uroczystość odbywała się w czasie, gdy Polską wstrząsała powyborcza histeria, podsycana petardami podważenia elekcji – bo przecież prezydent ma być z nadania elit, nie suwerena. Mimo wszystko zapewne dojdzie do zaprzysiężenie elekta, lecz co potem? Czy znów skrzyknie się Komitet Obrony Demokracji (ostatnio uaktywniony jako Obywatelska Kontrola Wyborów, dodajmy – finansowany z Funduszy EOG)? Przypomnę, że KOD eksplodował jesienią 2015 roku, dzień po powołaniu przez prezydenta Andrzeja Dudę Beaty Szydło na premiera. Pamiętam atmosferę sprzed dekady, kiedy establishment czynnie dał upust oburzeniu: „chamy odbijają kraj i tłamszą demokrację". Obserwowałam uliczne demonstracje z udziałem „prawdziwej inteligencji" i celebrytów. Na marszach KOD-ów odżyły emocje z czasów „karnawału" Solidarności, do której wtedy każdy chętnie się przyznawał. 10 lat temu stara gwardia smakowała déjà vu, młodsza – przeżywa dreszczyk nieznanych wcześniej emocji. Teoretycznie uczestnictwo w KOD-ach było ochotnicze i spontaniczne. Jednak niejeden odczuwał presję, że po prostu musi – bo absencja na przemarszach narazi go na środowiskowy ostracyzm. Niegdysiejsi nonkonformiści, po transformacji usadowieni w mainstreamie, wciąż potrafią solidarnie się wspierać. I nie mają zamiaru dzielić się wspólną historią z przegrywami, którzy nie umieli zdyskontować poświęceń. Czy elity zgodzą się na kolejnego prezydenta spoza ich puli? Zobaczymy.

eprasa.pl ac5f701e87

Czy można obniżyć cenę prądu?

W kampanii prezydenckiej Karol Nawrocki zapowiadał, że po wygranych wyborach doprowadzi do obniżki cen prądu o 1/3. Większość komentatorów uznała te słowa za niepoważną obietnicę wyborczą, której nie da się zrealizować. Przyjrzyjmy się temu, czy rzeczywiście jest to możliwe i **w jaki sposób**.

Maciej Szlinder

Rys. Adobe Stock

Do końca września tego roku ceny prądu dla gospodarstw domowych w Polsce są zamrożone i wynoszą 500 zł za megawatogodzinę netto (czyli 621,20 zł brutto). Oczywiście oznacza to, że różnicę między faktyczną ceną a ceną maksymalną państwo rekompensuje firmom energetycznym. Ten koszt w 2025 roku to 3,6 mld zł. Gdyby nie było tej ochrony, to nasze rachunki za prąd byłyby o prawie jedną czwartą wyższe. Drogi prąd to w największym stopniu skutek gwałtownego wzrostu cen surowców takich jak węgiel, ropa naftowa i gaz związanego z wojną na Ukrainie. To w odpowiedzi na tę sytuację konieczne było wprowadzenie środków osłonowych. Wcześniej, pod koniec 2022 roku, zamrożenie cen prądu na 2024 rok przyjął rząd Mateusza Morawieckiego. Limit został wówczas ustalony na 412 zł za megawatogodzinę.

Już od 1 lipca tego roku odwieszona została także opłata mocowa, której pobieranie zawieszono w połowie zeszłego roku. Jej powrót oznacza średnio dodatkowe kilkanaście złotych miesięcznie dla gospodarstwa domowego w fakturach za energię elektryczną.

Wprowadzenie obu wycofywanych w tym roku rozwiązań było uzasadnione zarówno walką z wykluczeniem energetycznym, jak i ograniczaniem inflacji. Z uwagi na jej niższy poziom niż w czasach kryzysu inflacyjnego rząd zdecydował się na rezygnację z dalszego obniżania cen prądu. Inflacja co prawda jest niższa niż w latach 2022–2023, ale przez

eprasa.pl ac5f701e87

pierwsze pięć miesięcy 2025 roku stale przekraczała 4 procent i istotnie wykroczyła poza wysokości notowane przed rokiem, kiedy to między lutym a majem mieściła się w celu inflacyjnym NBP wynoszącym 2,5% z symetrycznym przedziałem odchyleń plus minus 1 punkt procentowy.

Zauważmy ponadto, że obecna agresja Izraela na Iran spowodowała już gwałtowny wzrost cen ropy i zmusiła do zmiany oczekiwań inflacyjnych w górę. Zatem argumenty, by utrzymać ochronę gospodarstw domowych przed nadmiernie wysokimi rachunkami za energię, zdecydowanie nie zniknęły.

Co więcej, rezygnacja z ceny maksymalnej prądu budzi nawet pewien opór w szeregach koalicjantów Koalicji Obywatelskiej. Minister klimatu i środowiska Paulina Henning-Kloska z Polski 2050 uznała, że ceny prądu w tej chwili umieszczają gospodarstwa domowe „na progu bólu". Mimo to minister finansów Andrzej Domański nie widzi powodu, by przedłużyć program i temu bólowi zapobiec.

Obietnica Nawrockiego

W odpowiedzi na brak zdecydowania rządu w tym zakresie Karol Nawrocki uczynił z cen prądu jedną ze swoich kluczowych obietnic wyborczych. Ogłosił, że w ciągu 100 dni od objęcia urzędu doprowadzi do obniżenia cen prądu o 1/3. Ponieważ zaprzysiężenie Nawrockiego odbędzie się 6 sierpnia, to termin 100 dni wypadnie w połowie listopada. Jeśli nie zostaną podjęte żadne działania, ceny prądu będą wówczas wyższe prawdopodobnie o 25%. Po wycofaniu ich górnego limitu, a stawka wyniesie najpewniej ponad 620 zł netto za megawatogodzinę. Żeby obniżyć je o 33% trzeba byłoby zbić je do poziomu niższego niż 420 zł netto. O jakich sposobach na osiągnięcie tego celu Nawrocki wspominał w kampanii?

Jedną z dróg są działania na arenie międzynarodowej próbujące zdobywać sojuszników do radykalnej zmiany polityki klimatyczno-energetycznej Unii Europejskiej. Nawrocki wspominał o zorganizowaniu szczytu przeciwko Zielonemu Ładowi, czyli realizowanej obecnie (wbrew kampanijnym kłamstwom Rafała Trzaskowskiego) polityce UE. Polityka ta składa się z wielu aktów prawa unijnego, a jej celem jest osiągnięcie w 2050 roku neutralności klimatycznej. Trudno uwierzyć, że plan radykalnej zmiany polityki UE może się powieść w tak krótkim czasie. Co więcej, zbudowanie wystarczająco silnego sojuszu może być nieosiągalne z uwagi na to, że w różnych elementach Zielonego Ładu rozmaite kraje widzą realizację swoich interesów. Niemcy chcą dostarczać swoje wiatraki czy pompy ciepła, a Francuzi przejąć część polskiego przemysłu bateryjnego. Nawet Węgry, z którymi relacje środowiska Prawa i Sprawiedliwości, a tym samym prezydenta Nawrockiego mogą być bliskie, liczą na podłączenie się pod chiński przemysł energii odnawialnej. Można zmieniać elementy Zielonego Ładu i szukać sojuszników do konkretnych korekt, ale odrzucenie całości wydaje się bardzo mało realne.

> Nawrocki wspominał o zorganizowaniu szczytu **przeciwko Zielonemu Ładowi**, czyli realizowanej obecnie (wbrew kampanijnym kłamstwom Rafała Trzaskowskiego) polityce UE.

Karol Nawrocki zasugerował też w kampanii możliwość odrzucenia przez Polaków Zielonego Ładu w referendum. Jednak na takie głosowanie musiałby się zgodzić Senat, w którym większość ma koalicja rządząca – ma ją nawet bez senatorów z Polskiego Stronnictwa Ludowego (Koalicja Obywatelska, Lewica i Polska 2050 mają spokojną większość 55 na 100 senatorek i senatorów). Co więcej, referendum, żeby było wiążące, musiałoby zmobilizować ponad połowę uprawnionych do głosowania. Cały proces niewątpliwie trwałby też dłużej niż rzeczone 100 dni. Co więcej, nawet gdyby miał się powieść, to jego konsekwencje mogłyby być albo niewielkie, albo musiałyby się wiązać z wyjściem Polski z Unii Europejskiej, do czego trudno będzie znaleźć wystarczająco duże poparcie społeczne.

Trzecią przedstawianą możliwością jest przekierowanie funduszy pozyskanych z ETS prosto do gospodarstw domowych. Za lata 2013–2023 Polska otrzymała ponad 90 mld złotych z systemu ETS. Gdyby założyć, że roczne przychody z tego tytułu będą średnio przekraczały 8 mld rocznie, to powinno to wystarczyć do pokrycia limitu cen prądu na poziomie 420 zł netto. Ale wtedy wszystkie środki musiałyby być przeznaczone wyłącznie na ten cel. Nie zostałyby one wykorzystane na żadne elementy transformacji energetycznej. A to z kolei będzie w dłuższym okresie skutkowało dalszym uzależnieniem od surowców i wysoką energochłonnością polskiej gospodarki.

Jakie są inne opcje?

Oczywiście da się znaleźć środki na utrzymanie (lub nawet obniżenie) maksymalnych cen prądu po prostu w budżecie. Wymagałoby tego także przywrócenie jakiejś formy bonu energetycznego kierowanego do ubogich gospodarstw domowych. Taki bon był wypła-

eprasa.pl ac5f701e87

cany w drugiej połowie 2024 roku. Przysługiwał on gospodarstwom wieloosobowym, których dochody nie przekraczały 1700 zł na osobę (i 2500 zł dla gospodarstw jednoosobowych). Skorzystało z niego około 2,4 miliona gospodarstw, czyli zdecydowana mniejszość. Przy takiej liczbie beneficjentów obejmującej kilkanaście procent najuboższych gospodarstw, trudno byłoby uznać, że obietnica wyborcza obniżenia cen prądu byłaby dotrzymana. Można oczywiście ustawić progi dochodowe tak, by objąć wsparciem większość Polek i Polaków. Wiązałoby się to jednak ze znacznie większymi kosztami. Jednorazowy bon w wysokości 300–600 zł (w zależności od wielkości gospodarstwa) wypłacany co szóstemu gospodarstwu domowemu kosztował niecałe 1,3 mld zł.

Pomoc występująca zarówno w formie maksymalnej ceny prądu dla wszystkich gospodarstw domowych, jak i bonu energetycznego dla jakiejś ich części wymagałaby jednego z trzech rozwiązań: zwiększenia wpływów podatkowych, wyższego deficytu budżetowego lub zastąpienia innych wydatków budżetowych. (Teoretycznie można też sięgnąć po finansowanie poprzez bezpośrednią dodatkową emisję pieniądza, ale ten temat zostawmy na inny artykuł, bo wciąż wykracza na tę chwilę poza ramy debaty ekonomicznej w Polsce). Wszystkie te opcje wymagają przekonania do tego rządu lub przynajmniej większości parlamentarnej.

Możliwości finansowania

Chociaż zwiększenie podatków (np. dla najbogatszych) lub wprowadzenie nowych (np. cyfrowego od korporacji, katastralnego od 3. lub 4. mieszkania) byłoby bardzo sensowne, to w obecnym klimacie politycznym – niezwykle trudne. Sławomir Mentzen mimo zajęcia dopiero trzeciego miejsca w wyborach prezydenckich, narracyjnie wygrał kampanię, skłaniając obu wyprzedzających go konkurentów do odżegnywania się od jakichkolwiek myśli o podwyżkach podatków (choćby obciążających tylko uprzywilejowaną elitę czy zagraniczne firmy).

Podobnie jest z powiększeniem deficytu budżetowego. Z jednej strony nadmierny deficyt czy zadłużenie było jednym z zarzutów wobec rządu ze strony samego Nawrockiego w kampanii prezydenckiej. Z drugiej sam rząd zdecydował się na szybszą i trudniejszą drogę wychodzenia z unijnej procedury nadmiernego deficytu. Może nie być zatem skłonny sięgać po to narzędzie polityki gospodarczej.

Zastąpienie innych wydatków również jest możliwe, ale nie tak łatwo wskazać, jakie wydatki należałoby ograniczyć. Na pewno nie można ciąć kosztem już radykalnie niedofinansowanych usług publicznych, takich jak ochrona zdrowia, szkolnictwo czy transport. Na całe szczęście nie do ruszenia wydają się także bezpośrednie transfery pieniężne takie jak 800 plus. Wbrew popularnym nawoływaniom do ograniczenia wydatków na administrację te już są wyjątkowo niskie w porównaniu z innymi państwami europejskimi (4,2% w porównani do 5,8% średniej w Unii). Wobec wojny za naszą wschodnią granicą nikt nie poważy się także na cięcia wydatków na zbrojenia.

Skoro trudno jest podnieść podatki, to może można je obniżyć? Prawo i Sprawiedliwość złożyło na początku roku propozycję obniżki podatku VAT na energię z 23% do 8%. W 2022 roku rząd Mateusza Morawieckiego obniżył stawkę VAT na energię elektryczną z 23% do 5%. Ta obniża przyniosła realne oszczędności dla gospodarstw domowych, ale nie była wystarczająca wobec rosnących cen energii. Pod koniec 2022 roku Komisja Europejska uznała też, że obniżki VAT na energię elektryczną są niezgodne z unijnym prawem. Między innymi z uwagi na tę decyzję rząd odszedł od obniżki VAT na rzecz mechanizmu ustalania cen maksymalnych.

> Minister klimatu i środowiska Paulina Henning-Kloska z Polski 2050 uznała, że ceny prądu w tej chwili umieszczają gospodarstwa domowe **„na progu bólu”**.

Nie ma wyjścia?

Czy powyższy przegląd oznacza, że nie ma realnej możliwości wymuszenia na rządzie lub przeprowadzenia przez parlament istotnej obniżki cen energii elektrycznej? Czy Karol Nawrocki nie będzie w stanie zrealizować swojej wyborczej obietnicy dotyczącej obniżki rachunków za prąd o 1/3?

Może to zrobić, ale będzie to wymagało jednej z dwóch dróg. Pierwszą byłoby odejście od liberalnej retoryki niskich podatków. Drugą – odejście od krytyki deficytu budżetowego i przekonanie rządu do wspólnego wymuszenia łagodniejszego traktowania Polski przez Unię Europejską w zakresie wysokości deficytu i poziomu zadłużenia publicznego. Wybranie którejś z tych dróg mogłoby umożliwić zapewnienie środków na kombinację limitów cenowych na prąd i bonów energetycznych, które chroniłyby przynajmniej niezamożną większość społeczeństwa. Dotrzymanie obietnicy wobec tej grupy można by uznać za obietnicę spełnioną i dobry początek prezydentury.

eprasa.pl ac5f701e87

KARUZELA BLOGERAMI

JAKUB ZGIERSKI („MŁOT NA MARKSIZM”)

CZY „PORADNIK ŚWIADOMEGO NARODU” TRAFI POD STRZECHY?

W SOBOTĘ, 10 MAJA 2025 ROKU, W WARSZAWIE odbyła się konferencja pt. „Jak przełamać antykulturę? W drugą rocznicę śmierci śp. Krzysztofa Karonia”. Wydarzenie przyciągnęło kilkuset uczestników: ludzi nauki, nauczycieli, twórców, społeczników oraz wszystkich tych, którym wciąż bliska jest myśl autora słynnej „Historii antykultury”.

Za organizacją konferencji – podobnie jak w przypadku pierwszej edycji – stały podmioty skupione wokół środowiska „Polonia Christiana”, a mianowicie: Stowarzyszenie Kultury Chrześcijańskiej im. ks. Piotra Skargi oraz Instytut Studiów Doktrynalnych. Warto odnotować, że współgospodarzem była również nowo powstała fundacja – Instytut Wiedzy Społecznej im. Krzysztofa Karonia, założona jesienią 2024 roku z inicjatywy mojej (Jakuba Zgierskiego), Bartosza Kopczyńskiego, Dariusza Rozwadowskiego i Roberta Zawadzkiego.

Instytut Wiedzy Społecznej im. Krzysztofa Karonia można postrzegać jako miejsce, w którym duch intelektualny zmarłego myśliciela znajduje kontynuację. Choć organizacja nosi jego imię, to nie pełni ona roli muzeum czy archiwum pamięci, lecz stanowi żywe centrum refleksji, twórczego zaangażowania i dalszego rozwoju ideowego. W pełni potwierdziły to wystąpienia zaproszonych prelegentów, które zgromadziły liczne grono odbiorców. Ich przekaz wykraczał poza wspomnienia – był próbą twórczego rozwinięcia dorobku tego filozofa oraz odpowiedzią na aktualne problemy kulturowe, które dotykają nasz kraj.

Warto zaznaczyć, że w czasie konferencji Instytut ogłosił plan wydania swojej pierwszej publikacji – „Poradnika świadomego narodu” autorstwa Bartosza Kopczyńskiego. Autor, z wykształcenia prawnik, a z zawodu przedsiębiorca, jest zarazem pasjonatem historii idei. W sferze publicznej dał się poznać jako komentator przemian w edukacji, a także prezes Towarzystwa Wiedzy Społecznej w Toruniu, aktywny członek Ruchu Ochrony Szkoły, sygnatariusz Koalicji na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły (KROPS) oraz współzałożyciel i wiceprezes Instytutu Wiedzy Społecznej im. Krzysztofa Karonia. Jego dotychczasowe prace, funkcjonujące głównie w formie tekstów publicystycznych i analiz eksperckich, zyskały ostatecznie kształt książki, której premiera odbyła się pod koniec czerwca tego roku.

Za zgodą „Tygodnika Solidarność” mam przyjemność polecić Państwu lekturę tej publikacji. Bartosz Kopczyński podejmuje w niej szeroką analizę problemów społecznych, wychodząc od kondycji jednostki i sięgając do takich sfer jak: rodzina, państwo, gospodarka, religia czy geopolityka. Szuka przyczyn i sprawców przemian, ocenia ich cele i możliwe scenariusze przyszłości. Synteza końcowa zawiera konkretne propozycje działań: od reformy edukacji i polityki, przez odbudowę kultury i demografii, po rechrystianizację Europy. Cała książka stanowi więc próbę refleksji nad człowiekiem i jego osobistą odpowiedzialnością.

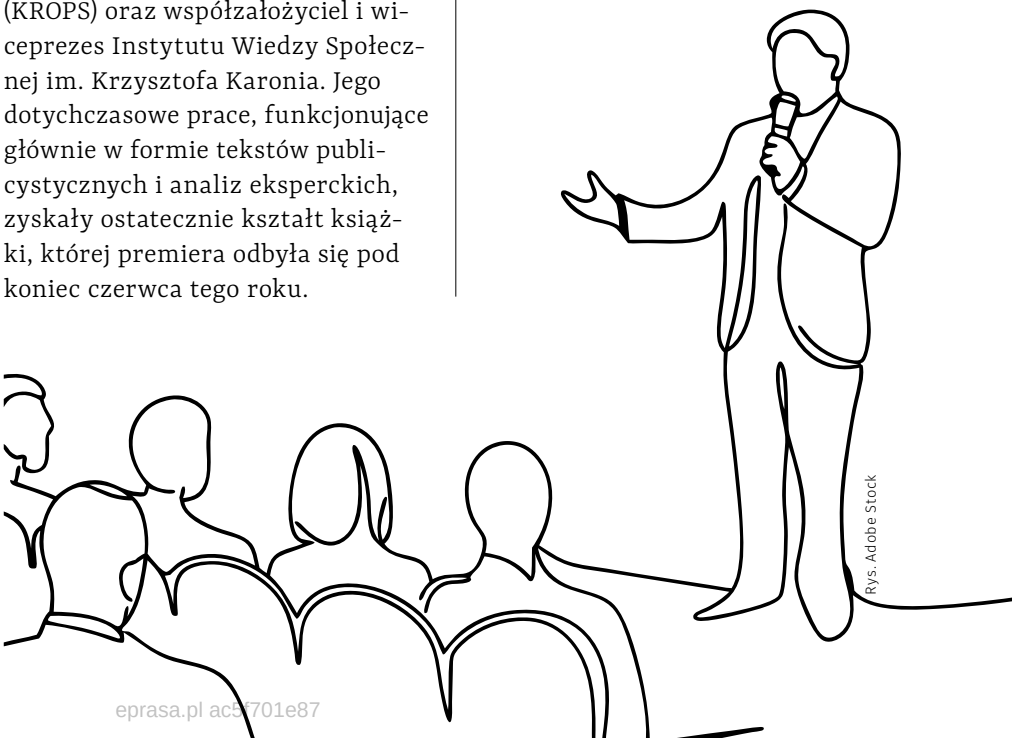

Rys. Adobe Stock

eprasa.pl ac5f701e87

Nie da się dłużej udawać

Banderyzm to oficjalna ideologia państwowa, masowa przestępczość, atakowanie Polski na arenie międzynarodowej przez Kijów. Polacy mają dość i czekają na władzę, która Ukrainie **będzie stawiać wymagania**.

Jakub Pacan

Czy da się pisać o kwestii ukraińskiej w Polsce tak, by nie być posądzonym o jątrzenie? Nie, na obecnym etapie naszych dwustronnych relacji to niemożliwe. Dlatego nie bawiąc się w niuanse, dla najkrótszej syntezy naszej gościny wobec Ukraińców najlepiej można posłużyć się cytatem z biblijnej Księgi Powtórzonego Prawa: „Gdy Pan, Bóg twój, wprowadzi cię do ziemi, o której poprzysiągł przodkom twoim: Abrahamowi, Izaakowi i Jakubowi, że da tobie miasta wielkie i bogate, których nie budowałeś, domy pełne wszelkich dóbr, których nie zbierałeś, wykopane studnie, których nie kopałeś, winnice i gaje oliwne, których nie sadziłeś, kiedy będziesz jadł i nasycisz się –strzeż się, byś nie zapomniał o Panu, który cię wyprowadził z ziemi egipskiej, z domu niewoli" (Pwt 6, 10–12). Oczywiście nie mieszając w to Pana Boga, słowa o przejęciu dóbr, które Polacy sobie wypracowali są do bólu celne. Ukraińcy dostali od Polski wszystko, co nasz kraj mógł dać, a nawet więcej, bo zadłużamy się na potęgę. Jakiś czas temu modne było słowo „putinflacja", ale „utrzymywanie dwóch narodów" nie może zostać bez konsekwencji dla naszych finansów. Warto przy tym wspomnieć, że Ukraina mimo wojny ma ponad dwa razy mniejsze zadłużenie niż Polska: Ukraina – 180,97 mld dol., Polska – 428 mld dol., a okazuje się, że i tak spłacamy odsetki od ich kredytów.

Armia dezerterów

Nie mniej ukraiński biznes w Polsce kwitnie w najlepsze i wchodzi w sektory strategiczne z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa, jak choćby przewozy kolejowe.

Co tutaj nie zagrało od samego początku? Od pierwszych dni wojny ukraińskie władze postawiły się w stosunku do Polski jako senior partner, a polskie władze bez mrugnięcia okiem na to przystały. Potem poszło już łatwo, rząd PiS płacił „uchodźcom" zasiłki, dawał darmową opiekę zdrowotną i darmową edukację ukraińskim dzieciom i dziesiątki programów drenujących kieszeń polskiego podatnika. Ukraińcy mogą w końcu w Polsce pobierać najmniejszą polską emeryturę po przepracowaniu choćby dnia u polskiego pracodawcy.

Na początku wydawało się, że w tej wojnie świat wraca na stare tory, mężczyźni walczą, by chronić swoją ojczyznę, a kobiety z dziećmi czekają bezpiecznie w Polsce. Niestety trzeba było kilku dni, by polskie miasta i ulice zalały samochody na ukraińskich rejestracjach – „legion Rolls-Royce" z młodymi mężczyznami, jak mówią Polacy. Z Ukrainy wyjechało około miliona poborowych po wybuchu wojny – liczby się różnią w zależności od metodologii. Kiedy Mateusz Morawiecki mówił na jednej z konferencji do Ukraińców: „Pozdrawiają was wasze kobiety i dzieci z Polski", już wtedy młodzi mężczyźni w wieku poborowym, po prostu dezerterzy, bo trzeba statut uchodźcy zostawić ludziom, którzy naprawdę są uchodźcami, dobrze urządzali sobie życie w Polsce wspierani hojnie z naszych podatków.

Należałoby przy tej okazji zadać pytanie, jak budować morale u Polaków, jak zachęcać ich do służby w formacjach mundurowych, skoro rządy PiS i PO dawały dezerterom wrogiego nam państwa zasiłki? Moralnie to pytanie jest na miejscu, szczególnie wśród ludzi, którzy już postanowili, że w godzinie „W", zostaną w Polsce

> GŁÓWNĄ WINĄ PIS-u NAJPIERW, A POTEM PLATFORMY OBYWATELSKIEJ BYŁO PRZEKONANIE POLAKÓW, ŻE ZA NASZĄ WSCHODNIĄ GRANICĄ POLSKA MA TYLKO JEDEN LOS I JEST TO LOS UKRAINY.

eprasa.pl ac5f701e87

Fot. Mateusz Slodkowski / Zuma Press / Forum

i będą gotowi nawet zginąć w obronie ojczyzny.

Udajemy, że pada deszcz

W najnowszych dziejach świata nie ma drugiego takiego przypadku, żeby ktoś za własne pieniądze dawał rosnąć swojemu zdeklarowanemu rywalowi, a nawet wrogowi, bo przy okazji tej wojny dowiedzieliśmy się, że nie jesteśmy dla Ukrainy przyjacielem. Ukraina jest nam nieprzyjazna, ukraińskie państwo nie życzy nam dobrze, nie sprzyja nam, jest nam nieprzychylne. Nie jest nam wdzięczne, przy każdej okazji okazuje nam pogardę i niechęć. Prezydent Wołodymyr Zełenski obraził polskiego prezydenta na forum ONZ, a Andrzej Duda opluty przez prezydenta Ukrainy czekał jeszcze na niego godzinę, by się spotkać. Za własne pieniądze, w sytuacji, kiedy wszystkie karty były w naszym ręku, daliśmy się zdominować państwu o niższym poziomie cywilizacyjnym i kulturowym, o wschodniej kulturze politycznej.

„Siła państwa na zewnątrz objawia się możliwością niepodlegania woli innych państw i możliwością narzucania im swej woli [...]. Państwo zwiększa bezpośrednio swoją potęgę, gdy przyczynia się do zmniejszenia potęgi innych państw [...]. Siła państwa pojawia się w chwilach, gdy istnieje sprzeczność między państwami" – pisał w „Imperializmie państwowym" geniusz myśli politycznej Adolf Bocheński. Ukraińcy tę lekcję wobec Polski odrobili wzorcowo, zdominowali naszą klasę polityczną zupełnie i bez walki.

Główną winą PiS-u najpierw, a potem Platformy Obywatelskiej było przekonanie Polaków, że za naszą wschodnią granicą Polska ma tylko jeden los i jest to los Ukrainy. Problem w tym, że Ukraińcy, cała ich współczesna państwowość, zbudowana jest na narracji antypolskiej. Ukraińska klasa polityczna i elity tego kraju nie są wielkimi fanami Polski i nie widzą w nas adwokata w Unii Europejskiej. Całe szczęście, że nasza polityka prometejska wobec dawnych Kresów Wschodnich coraz bardziej przechodzi do przeszłości. Nasze powinności cywilizacyjne, kulturowe i europejskiej wobec UBL, czyli Ukrainy, Białorusi i Litwy, okazały się szlachetnym bajdurzeniem zasiedziałych w Polsce intelektualistów, którzy nie zrozumieli, jak zmieniła się mentalność tych narodów po dziesiątkach lat okrutnej okupacji sowieckiej. Szkoda tylko że musimy za tę naiwność płacić tak ogromną cenę.

Baćko, nasz Bandera

Polską klasę polityczną i środowiska opiniotwórcze czeka jeszcze jeden przewrót mentalny, im szybciej

eprasa.pl ac5f701e87

do niego dojdzie, tym Polska będzie bezpieczniejsza. Otóż musimy sobie uświadomić, że nie sąsiadujemy z normalnym europejskim państwem. Ukraina to „Afryka" i to nie ze względu na rasizm. To państwo prywatne, podzielone między wpływy różnych kacyków, w którym poziom usług publicznych, korupcji, relacji władza – obywatel, brak przejrzystości, poziom sposobu rozwiązywania sporów politycznych, przestępczości, służby zdrowia sytuuje ten kraj wśród państw afrykańskich. I Polska musi chronić granicy z Ukrainą, jak RPA chroni swoich granic z Mozambikiem czy Botswaną. Na granicy z Ukrainą musi powstać zapora silniejsza niż na granicy z Białorusią, inaczej polskie państwo z całym aparatem służb nie udźwignie fali przestępczej przetaczającej się przez tę granicę.

Do polskiej opinii publicznej musi dotrzeć też prawda, że Ukraina, państwo proszące świat i Europę o pomoc, jako oficjalną ideologię państwową wybiera banderyzm, czyli okres współpracy z Hitlerem i nazistowskimi Niemcami, a jako bohaterów narodowych czci jawnych ludobójców i faszystów. Z taką ideologią nie wchodzi się do UE i NATO. Jest coś tragicznego w tym, że ukraińskie elity polityczne zapatrzone w Niemcy, Francję, USA z lekceważeniem, a nawet wrogością traktują swoich najbliższych sąsiadów. Ukraińcy postrzegają naszą politykę wschodnią, naszą chęć bycia ich adwokatem w Europie jako śmieszną i niewiele znaczącą. Dla nich nasze wielkie ambicje przy szczupłych zasobach bycia ich adwokatem są bez treści. Zresztą ukraińskie elity i oligarchia już wybrały – ich stolicą w Europie jest Berlin, nie Warszawa.

W polskich staraniach o dobre relacje z Ukrainą nie można nie brać w rachubę niemieckich planów wzmacniania ukraińskiego nacjonalizmu przeciw Polsce, ale też Rosji. Niemcy bardzo dobrze przećwiczyły to w czasie I wojny światowej, kiedy Erich Ludendorff wyraźnie stawiał na skłócanie między sobą narodów Europy Środkowo-Wschodniej. Ta polityka jest do dziś realizowana przez Berlin. Z drugiej strony Rosja nigdy nie zrezygnuje z walki o dusze Ukraińców, a jednym z elementów rosyjskiej propagandy jest stałe skłócanie ich z Polakami. Tak więc z dwóch stron Ukraińcy poddawani są antypolskiej narracji. Czy Polska ma zasoby i narzędzia do przełamania niemieckiej i rosyjskiej wojny informacyjnej w tym obszarze?

I niestety, kiedy ktoś za rosyjską propagandą mówi, że Rosjanie, choć straszni, to przyznali się przynajmniej do Katynia, a Ukraińcy nie pozwolą pochować w cywilizowany sposób naszych bliskich, to zneutralizowanie tego argumentu jest w rękach samych Ukraińców.

Kijów nie ma dobrych relacji nie tylko z Budapesztem i Bratysławą, napięte stosunki ma też z Pragą, a udawana serdeczność z Warszawą skończy się, gdy tylko Polska będzie już mogła urealnić stosunki z Ukrainą. Znamienne, że niedawno Sejm jednogłośnie zdecydował o ustanowieniu 11 lipca Dniem Pamięci o Polakach – Ofiarach Ludobójstwa dokonanego przez OUN-UPA na ziemiach wschodnich II Rzeczypospolitej.

Europa ma dość

W wielu państwach europejskich skończyła się już taryfa ulgowa dla Ukrainy. Należą do nich nie tylko Słowacja czy Węgry, ale także Niemcy, gdzie w czerwcu ubiegłego roku polityk CSU Alexander Dobrindt zaproponował, by bezrobotnych obywateli Ukrainy odesłać do ich kraju. Hesja była pierwszym landem, który zdecydował się wesprzeć władze Ukrainy w ściąganiu mężczyzn do kraju poprzez niewydawanie Ukraińcom w wieku poborowym dokumentów uprawniających ich do wyjazdu za granicę. „Mogą oni wyjechać na Ukrainę, aby uzyskać paszport i odbyć służbę wojskową [...] werbowanie ludzi do udziału w kampanii obronnej przeciwko Rosji i tym samym zachęcanie ich do powrotu do ojczyzny leży w wyraźnym interesie Ukrainy" – napisali przedstawiciele Departamentu Spraw Zagranicznych. W tym roku Niemcy przestali wpuszczać Ukraińców w wieku poborowym, odsyłają ich do Polski.

Ukraina nie jest państwem specjalnej troski, a jeśli jest, to na własne życzenie. Polska nie ponosi z tego tytułu żadnej odpowiedzialności.

> ZA WŁASNE PIENIĄDZE, W SYTUACJI, KIEDY WSZYSTKIE KARTY BYŁY W NASZYM RĘKU, DALIŚMY SIĘ ZDOMINOWAĆ PAŃSTWU O NIŻSZYM POZIOMIE CYWILIZACYJNYM I KULTUROWYM, O WSCHODNIEJ KULTURZE POLITYCZNEJ.

eprasa.pl ac5f701e87

ŚWIAT WEDŁUG JASTRZĘBOWSKIEGO

Bodnar oćwiczony

Sławomir Jastrzębowski

No dobrze, wstydzę się, ale w sposób umiarkowany, ponieważ w owym akcie wstydziku zawarty jest także element czerpania niechwalebnej radości. Otóż obserwowałem z satysfakcją jak Sąd Najwyższy uczył moresu Adama Bodnara, chwilowo ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego, jak go oćwiczono prawem i procedurami...

Otóż człowiek, który nie tylko moim zdaniem stracił cały szacunek jako prawnik, posłał do Sądu Najwyższego w przeddzień ogłoszenia przez Izbę Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych dwóch swoich prokuratorów, którzy zażądali dostępu do akt protestów wyborczych. Starali się być przebojowi i energiczni, ale postrzegani byli jako bezczelni i impertynenccy. Niemniej, nie z takimi bezczelami Sąd sobie radził, i zaczęła się lekcja numer 1...

Lekcja 1: Dwóch panów od Bodnara zostało, tu cytat z oficjalnego pisma Sądu Najwyższego: „pouczonych" (!) o procedurach obowiązujących w SN. A procedury są takie, że jeśli chce się coś przeczytać, to trzeba wypisać i złożyć wniosek, po czym wniosek czeka sobie cierpliwie na rozpatrzenie. Jeśli zostanie rozpatrzony pozytywnie, można umówić się do czytelni SN. Z dwóch panów od Bodnara zeszła trochę bezczelność i jak niepyszni zaczęli wypełniać 214 wniosków. Ponieważ szło im dość sprawnie, popisali sobie dwie godziny. Następnie wniosek czekał na rozpatrzenie do godziny 15.00. O tej godzinie Sąd zapoznał się z nimi oraz wyraził zgodę. Niemniej zrobiło się późno i wizyta w czytelni była możliwa dopiero następnego dnia. Tu Bodnar nie wytrzymał ciśnienia, no bo jak to? Jemu, naprawdę pulchnemu Bodnarowi, ośmielono się nie wydać akt natychmiast? Jak to? Usiadł wtedy Bodnar, zapłakał i napisał o rzekomym „rażącym naruszeniu zasad rozpoznawania protestów wyborczych", ponieważ „nie udostępniono prokuratorom upoważnionym przez prokuratora generalnego akt postępowań w sprawach dotyczących rozpoznawania protestów wyborczych". I nadeszła pora na lekcję numer 2, czyli uczenie Bodnara moresu...

Lekcja 2: Otóż na pismo całego w pretensjach Bodnara odpowiedział Sąd Najwyższy, który – przykro to mówić – potraktował go jak niesfornego chłopczyka. Czytamy: „W związku z nieprawdziwymi twierdzeniami Prokuratury Krajowej, jakoby upoważnionym przez prokuratora generalnego prokuratorom nie udostępniono akt postępowań w sprawach dotyczących rozpoznawania protestów wyborczych, informujemy, że wszystkie 214 wniosków o wgląd do akt zostało pozytywne rozpatrzonych. W związku z tym prokuratorzy mogą swobodnie przeglądać akta, o które wnioskowali w godzinach pracy czytelni akt SN". Innymi słowy, sędziowie powiedzieli Bodnarowi: „Leciutko histeryzujesz oraz mijasz się z prawdą, nieładnie". Naburmuszony Bodnar nie wysłał prokuratorów do czytelni, natomiast następnego dnia, 1 lipca, sam zgłosił się ciałem do SN, gdzie otrzymał lekcję numer 3.

Lekcja 3: Przed podjęciem uchwały przez Izbę Kontroli Nadzwyczajnej Sądu Najwyższego Bodnar stawił się przed Sądem i mówiąc do niego: „Wysoki Sądzie", stwierdził, że ów Sąd nie jest sądem i nie może rozstrzygać o legalności wyborów. Powiało defektem psychicznym, ale Sąd ustami jednej z sędzi zapytał, czy może Bodnar czuje się neosenatorem, a może nie jest senatorem wcale, bo o ważności wyborów parlamentarnych w 2023 roku zdecydowała właśnie ta izba Sądu...

Najgorsze przyszło 1 lipca o 18.30. Sponiewierany chwilowo minister wysłuchał uchwały Sądu, który jest sądem: Karol Nawrocki został wybrany na prezydenta RP...

SĘDZIOWIE POWIEDZIELI BODNAROWI: „LECIUTKO HISTERYZUJESZ ORAZ MIJASZ SIĘ Z PRAWDĄ, NIEŁADNIE".

eprasa.pl ac5f701e87

Dziurawa granica

Kryzys imigracyjny, którego unikaliśmy od 2015 roku, dotarł do nas z pełną mocą i z błogosławieństwem władz. Los, którego uniknęliśmy 10 lat temu, przypieczętowali polscy obywatele masowo odmawiający przyjmowania kart referendalnych w październiku 2023 roku. **Łatwowierność** wyborców poprzedziła arogancję polityków, a ci, obojętni na obawy ludzi, za których los odpowiadają, tłumaczą, że nic się nie dzieje.

Krzysztof Karnkowski

Jeszcze w 2023 roku Niemcy przywrócili kontrole graniczne, tłumacząc to wzrostem liczby nielegalnych imigrantów. Zaostrzenie polityki Berlina miało związek z pogorszeniem się nastrojów społecznych i wzrostem poparcia dla najbardziej w tych kwestiach radykalnej Alternatywy dla Niemiec. Widmo zwycięstwa antysystemowej partii w nadchodzących wyborach było na tyle groźne, że nie wystarczyły tylko deklaracje polityków. Partie mainstreamu musiały wprowadzić w czyn niektóre z postulatów znacząco zmieniających politykę otwartych drzwi prowadzoną przez kanclerz Angelę Merkel i częściowo kontynuowaną przez Olafa Scholza. Już w 2023 roku na mocy art. 6 kodeksu granicznego Schengen niemiecka policja federalna zaczęła odmawiać wjazdu i zawracać na granicy osoby niespełniające warunków, co nie wymagało formalnej procedury przekazania polskim służbom. Było ich sporo, jednak dość długo wydawało się, że wszystko mieści się przynajmniej w unijnym porządku prawnym. Do czasu.

Niemieckie push backi

W czerwcu zeszłego roku prawicowe media odkryły przypadki nielegalnego przerzucania do Polski migrantów z Niemiec. Olbrzymi udział w nagłaśnianiu tego faktu miała i ma nadal współpracująca z Tysol.pl Aleksandra Fedorska. Rząd wydał oczywiście ostre stanowisko, strona niemiecka przeprosiła, po czym... sytuacja zaczęła się powtarzać. Kluczowe jest w tym współdziałanie strony polskiej i pełna współpraca służb państwa, które zdają się całkowicie ignorować problem i przyjmować na wiarę wszelkie deklaracje Niemców. A ci są na miejscu i pilnują własnych interesów, co sprawia wrażenie nadrzędności policji niemieckiej nad polskimi mundurowymi, co dodatkowo zaognia sytuację. Na początku tego roku Fedorska opisywała działania administracji niemieckiej, mające ułatwić jej odsyłanie do Polski niechcianych na miejscu, kłopotliwych gości. Równocześnie ten wątek pojawiał się coraz częściej w wypowiedziach polityków niemieckiej chadecji. Polscy internauci pisali o potrzebie zamknięcia granicy lub przynajmniej wzmocnienia kontroli, jednak władze miały inne plany. Oficjalnie przekaz pozostawał ten sam, był zbieżny z programem poprzedników i oczekiwaniami społecznymi – żadnej nielegalnej imigracji. Tyle że praktyka nie miała polegać, jak wcześniej, na selekcji (i tak według wielu zbyt łagodnej) i przyjmowaniu jedynie legalnych imigrantów zarobkowych i faktycznych uciekinierów z krajów sąsiadujących z Polską, tylko na... legalizacji wszystkich. I tak też to wygląda na początku lipca. Niemcy pakują kolejnych uchodźców w auta naszej Straży Granicznej, by ta bez szemrania odstawiła ich do Polski. Osoby te maja często tę samą datę urodzenia, czyli 1 stycznia, a nasz kraj widzą na oczy po raz pierwszy, a jednak oficjalnie to właśnie stąd dostały się do Niemiec. Wyróżniający się wyglądem i zachowaniem goście zaczynają być widoczni w całej Polsce. Prawicowe telewizje nagrywają kolejne reportaże, pełne wypowiedzi przestraszonych mieszkańców. Przybysze

Fot. Michał Niedzielski / Forum

Patrol obywatelski Ruchu Obrony Granic na granicy polsko-niemieckiej; Lubieszyn, 1 lipca br.

eprasa.pl ac5f701e87

przesiadują gromadnie na przystankach, czasem jednak, ku przerażeniu miejscowych, upatrują sobie pozycje w pobliżu szkół. Atmosfera zagęściła się, zanim jeszcze na granice wyruszył Ruch Obrony Granic, organizowany przez Roberta Bąkiewicza. I zanim doszło do przerażającej tragedii w Toruniu, gdy przebywający w Polsce obywatel Wenezueli zgwałcił i oślepił Klaudię, młodą mieszkankę tego miasta, która wkrótce potem zmarła. Wcześniej oddziałujące na wyobraźnię sceny przesączały się przez media społecznościowe: widok czarnoskórego mężczyzny załatwiającego swoje potrzeby fizjologiczne w stawie (choć ponoć, jak mówił mi znajomy mieszkający w tej okolicy, w tym akurat nie był wcale pierwszy ani wyjątkowy – jednak obraz wywrócił polski internet do góry nogami) czy Afrykanina skaczącego po samochodach na warszawskim Gocławiu. Kilkanaście dni temu wstrząs wywołała informacja o zakwaterowaniu dwóch nieznanych służbom z nazwiska mężczyzn w domu dziecka, w którym zaczęli oni narzucać wychowankom prawo szariatu.

Syryjskie sieroty

Od lat polskie liberalne elity chciały przekonać nas do zachodnioeuropejskiego modelu pełnej otwartości, choć w czasie rzeczywistym widzieliśmy jego negatywne skutki, a dziś obserwujemy upadek całej stojącej za nim koncepcji inżynierii społecznej. Okazuje się jednak, że to my mamy zapłacić za ten kryzys, który zafundowali sobie wcześniej bogatsi od nas. Wszyscy pamiętają jeszcze, jaką histerię wzbudziły słowa Jarosława Kaczyńskiego o szwedzkich „no-go zones”. – Pan prezes mówił o wielkiej miłości do narodu... PiS pokazało prawdziwą twarz: partii antyeuropejskiej i ksenofobicznej – komentowała Ewa Kopacz, ale wówczas i rząd, i media mówili w tej sprawie jednym głosem. I to właśnie stało się jedną z przyczyn rychłego wyborczego sukcesu Prawa i Sprawiedliwości. Elita zlekceważyła społeczne obawy, Kaczyński je wypowiedział. Polska szykowała się wówczas na udział w imigranckim torcie, co powstrzymała na lata zmiana władzy w 2015 roku. – Przyjęcie imigrantów, którzy uciekają ze swoich ojczyzn w obawie o życie, jest naszym obowiązkiem – mówiła Kopacz jeszcze przed wyborami. Wtórował jej Ryszard Petru, powtarzający, że: – Naszym obowiązkiem jest przyjmowanie uchodźców. [...] Nie możemy pozostawić samych sobie ludzi, którzy przez wojnę i prześladowania muszą uciekać z domów.

Gdy PiS wyłamywało się z unijnego dyktatu, przyjmowanie uchodźców deklarowały zbuntowane samorządy i egzaltowane internautki. Szwecja powróciła w 2019 roku, gdy odbierając Nagrodę Nobla, Olga Tokarczuk mówiła m.in.: – Pomyślałam, jakie bogactwo Szwecja sobie przygarnęła wraz z imigrantami. Jaki to jest potencjał wrażliwości, różnych sposobów myślenia... Zawsze w takich momentach jest mi wstyd za ten straszny 2014 rok, kiedy Polska nie przyjęła imigrantów. Nigdy nie będę potrafiła tego zrozumieć.

Kilka lat później bogactwo to przyniesie naszym zamorskim sąsiadom wyborczy sukces antyimigranckich Szwedzkich Demokratów, to już jednak inna historia.

Wschód i Zachód

Kolejna odsłona naszej historii, wielokrotnie już na tych łamach opowiedziana, to hybrydowy atak na naszą wschodnią granicę. Medialne szantaże moralne, niestworzone

eprasa.pl ac5f701e87

opowieści, szarpanie sumieniami, a w tle współpraca rosyjskich i białoruskich służb, przemyt i handel ludźmi, wreszcie zwykła, cyniczna polityczna gra. I wielkie pieniądze, choćby na film Agnieszki Holland „Zielona granica". Gdy zmieniła się władza, to Platforma podjęła narrację o wojnie hybrydowej, budząc niedowierzanie i sprzeciw części aktywistów. Władza cierpi tu na rozdwojenie jaźni, kontynuując w pewnym stopniu politykę PiS, ale promując histeryczny film Holland w państwowych instytucjach kulturalnych. I godząc się w miastach na zachodzie kraju na to, z czym walczy się wciąż przy granicy z Białorusią. I tak wracamy do głównego tematu. – Bezpieczeństwo nie wyklucza człowieczeństwa. [...] Polska jest na tyle dużym i dumnym krajem, że nie musi się bać kobiet w ciąży, niemowląt albo starszych i chorych osób, które [...] szukają po prostu humanitarnego wsparcia. My jesteśmy krajem solidarności, a nie krajem agresji przeciwko potrzebującym – mówił jeszcze w tym roku Szymon Hołownia. Jednak w kwestii kryzysu na granicy zachodniej przekaz oparty jest na trochę innych akcentach. Przestaje wystarczać opowieść, że zmiana na polskich ulicach to efekt rzekomych nadużyć PiS w tzw. „aferze wizowej". Następuje ona zbyt późno, zbyt gwałtownie i na zbyt wielką skalę, by spiąć ją z zaniedbaniami poprzedników. To już nowi ludzie i nowe władze. Stare są natomiast nawyki.

Z kim walczy elita?

„Najlepsza jest wieczna pycha inteligentów, że w takich sprawach jak migracja będzie tak, jak sobie zażyczymy" – pisze na portalu X publicysta „Gazety Polskiej" Maciej Kożuszek, a pisząca w „Rzeczpospolitej" Estera Flieger zauważa, że „liberałowie, może bardziej lewica, oddali też temat migracji w taki sposób, że negowali prawo do obaw, lęku. Nie było nic poza etykietą rasisty". I taka też jest reakcja władzy na grupy obywateli, którzy próbują działać tam, gdzie państwo najwyraźniej nie działa. Pospolite ruszenie jest już na granicach, legitymizuje, nagrywa, wypytuje i wzywa służby. Jednak elita, tak kochająca „społeczeństwo obywatelskie", tu widzi odbicie swoich lęków i kompleksów, a nie ucieleśnienie ideału społecznej partycypacji. – Banda oszołomów legitymuje na granicy ludzi i decyduje, kto może wjechać do Polski, a kto nie. Panie Ministrze Siemoniak, czy podległe Panu formacje mogą zrobić z tym porządek? – pyta najbogatszy poseł tej kadencji Artur Łącki. 1 lipca dowiedzieliśmy się nie tylko o tym, że Sąd Najwyższy potwierdził wybór Karola Nawrockiego na prezydenta RP. Z wielkim zdziwieniem internauci odkryli tego dnia fakt istnienia Ministerstwa ds. Społeczeństwa Obywatelskiego, którego szefowa Adriana Porowska mocno wypowiedziała się o Ruchu Obrony Granic. – Jako minister ds. społeczeństwa obywatelskiego wyrażam głęboki niepokój ws. nielegalnych „patroli obywatelskich" organizowanych przy granicy PL – DE. To nie troska o bezpieczeństwo, lecz cyniczne działania oparte na fake newsach i straszeniu migrantami. Granic pilnują służby, a nie samozwańcze grupy".

WYRÓŻNIAJĄCY SIĘ WYGLĄDEM I ZACHOWANIEM GOŚCIE ZACZYNAJĄ BYĆ WIDOCZNI W CAŁEJ POLSCE.

Pojawia się i wątek dezinformacji, którą według wielu bliskich rządowi komentatorów mają być zdjęcia i filmy, dokumentujące zmiany struktury etnicznej napotykanych w polskich miastach ludzi. Trudno jednak wyobrazić sobie, by dziś ktokolwiek jeszcze dał się na to nabrać. Tak, jak wcześniej nabrano się niestety na zapewnienia o nieobjęciu Polski faktycznymi skutkami Paktu migracyjnego (mieliśmy być z niego zwolnieni z racji przyjęcia Ukraińców, tyle że poza polskimi ministrami nikt w Europie tego nigdy nie potwierdził) czy na apele o bojkot referendum, które według polityków ówczesnej opozycji miało być bezprzedmiotowe. A że nie było, coraz częściej przekonują się ci, którzy w październiku 2023 roku z obrzydzeniem odmawiali przyjmowania karty z jego pytaniami.

WSTRZĄS WYWOŁAŁA INFORMACJA O ZAKWATEROWANIU DWÓCH NIEZNANYCH SŁUŻBOM Z NAZWISKA MĘŻCZYZN W DOMU DZIECKA, W KTÓRYM ZACZĘLI ONI NARZUCAĆ WYCHOWANKOM PRAWO SZARIATU.

Pozory kontroli

Kryzys na granicy będzie zapewne narastał pomimo deklaracji. Legalizacja,

eprasa.pl ac5f701e87

„jak leci” pobytu wszystkich migrantów – w oparciu wyłącznie o deklaracje niemieckich służb mających w tym polityczny interes – żadnego problemu przecież nie rozwiąże. Kończą się cierpliwość i moce przerobowe przypisanych do obsługi tego tematu instytucji. Nic więc dziwnego, że prawica dostrzega tu swoją szansę, a liberałowie widmo porażki. Donald Tusk mówi o ultraprawicowych bojówkach na granicy i oczekuje, że to tym problemem zajmą się polskie służby. Prezydent elekt przyjmuje postawę odwrotną i dostrzegając zagrożenie na granicy, dziękuje Robertowi Bąkiewiczowi i innym społecznikom, a premier potępia przyszłego prezydenta za te słowa. Do potępień działań Bąkiewicza dołączają oczywiście kolejni celebryci i samozwańczy eksperci od spraw bezpieczeństwa, czasem widząc powtórkę z działań Rosjan w oddolnej próbie kontroli granic w separatystycznych obwodach Ukrainy. Niektórzy, choćby publicysta Tomasz Terlikowski, wzywają wręcz do działań siłowych – nie wobec imigrantów, a ludzi, którzy poczuli się zaniepokojeni biernością państwa wobec zagrażającej im sytuacji. Premier ogłosił co prawda, że na granice wracają kontrole, jednak nie zmienia to niczego, ponieważ dotyczą one wyłącznie tych osób, które państwo uznałoby za nielegalne, a po drugie szybko okazało się, że mają one dotyczyć raczej wyjeżdżających, a nie wjeżdżających do Polski. Naszego premiera wsypał jak zwykle kanclerz Friedrich Merz, znajdujący w tym ewidentnie upodobanie. Czy te wydarzenia spowodują oczekiwane przez wielu trzęsienie ziemi w polskiej polityce? Jest to bardzo prawdopodobne, niestety jednak nim do tego dojdzie, czeka nas jeszcze wiele niepokojących wieści z granicy.

NIEKTÓRZY WZYWAJĄ WRĘCZ DO DZIAŁAŃ SIŁOWYCH – NIE WOBEC IMIGRANTÓW, A LUDZI, KTÓRZY POCZULI SIĘ ZANIEPOKOJENI BIERNOŚCIĄ PAŃSTWA WOBEC ZAGRAŻAJĄCEJ IM SYTUACJI.

W pierwszą rocznicę śmierci z głębokim smutkiem i poczuciem straty
wspominamy naszą Koleżankę

śp. Teresę Wójcik

znakomitą dziennikarkę, wnikliwą obserwatorkę życia społecznego i politycznego,
a przede wszystkim dobrego i wrażliwego człowieka o wielkim sercu.
Jej rzetelność, niezłomna pasja do poszukiwania prawdy i wyjątkowa kultura słowa
na zawsze pozostaną dla nas wzorem.
Dziękujemy za wszystko, Teresko.

Redakcja „Tygodnika Solidarność”

eprasa.pl ac5f701e87

PORTRET NIEOCZYWISTY

„Jaszczur” i przemysł radykalizmu

eprasa.pl ac5f701e87

Jeśli istnieje coś takiego jak prawicowa kontrkultura, to właśnie Wojciech „Jaszczur” Olszański mógłby uchodzić za jej guru. Spośród wielu **politycznych ekscentryków** w historii III RP to właśnie on zaszedł najdalej – przynajmniej w kilku konkurencjach: rozrywkowości, politycznej niepoprawności i eklektyzmie ideologicznym.

Ludwik Pęzioł

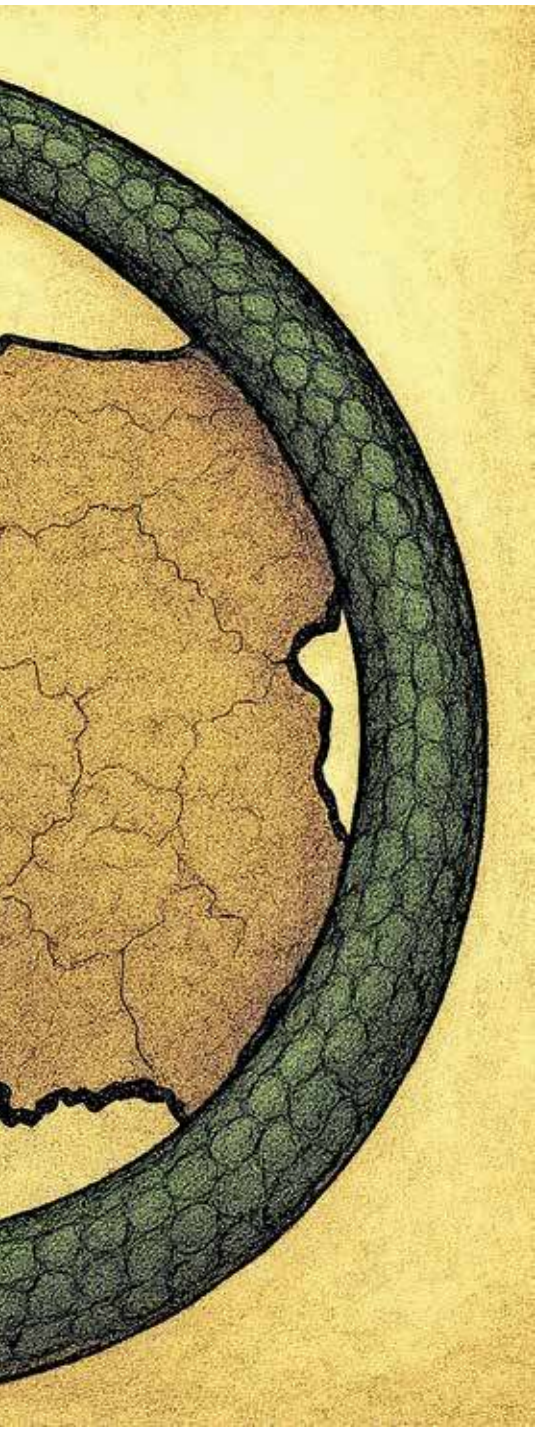

Rys. Krzysztof Karnkowski

Dla osób podchodzących do polityki z dystansem duet „Jaszczur & Ludwiczek” pozostaje – mimo skandalizującej retoryki – raczej egzotyką, ciekawostką, źródłem internetowych żartów. Olszański nie tworzy realnej siły politycznej, a ruch, który zgromadził wokół siebie, nie ma większego wpływu na rzeczywistość. A jednak jego historia mówi wiele o mechanizmach kapitalizacji uwagi, internetowych strukturach wspólnototwórczych i naturze postpolityki.

Jaszczurcza mitologia

„Kanoniczna” wersja początków kariery Wojciecha Olszańskiego na polskiej scenie antysystemowej wygląda następująco. W 2016 roku niezależny dziennikarz Jan Bodakowski – znany z prowadzenia wideorelacji i ulicznych wywiadów – udał się na protest Komitetu Obrony Demokracji przed Kancelarią Premiera. W pewnym momencie podszedł do niego mężczyzna w wojskowym uniformie, zgłaszając chęć wypowiedzenia się do kamery. Ku zaskoczeniu reportera, nagranie z zupełnie nieznanym człowiekiem przedstawiającym się jako Aleksander Jabłonowski zyskało w internecie ogromny rozgłos. Sam Bodakowski przyznaje dziś, że trudno mu uwierzyć w pełną spontaniczność tego spotkania – i sugeruje, że nad wszystkim unosił się zapach służb specjalnych. Sukces był po prostu zbyt nagły i zbyt spektakularny. Jednak internet wielokrotnie udowadniał, że i bez tajemniczych interwencji potrafi w ciągu kilku godzin uczynić z anonimowej jednostki celebrytę, męża opatrznościowego czy symbol społecznego buntu. Wersję, „jak było”, niech każdy dobierze sobie podług własnego poziomu podejrzliwości.

„Jaszczur” wzbudził w prawicowym środowisku silne emocje niemal natychmiast po pierwszym wywiadzie. Dość szybko bowiem zdemaskowano jego prawdziwą tożsamość. Aleksander Jabłonowski (jak się przedstawiał Bodakowskiemu) okazał się być aktorem i reżyserem Wojciechem Olszańskim. Dalej było tylko gorzej. Olszański powoływał się na nieżyjących „wychowawców” ze Związku Jaszczurczego, a jego światopogląd – będący osobliwym połączeniem endokomunizmu (apologia PRL-u, generała Iwana Sierowa, organizacji PAX, „moczarowski” antysemityzm i prorosyjski kurs) z ezoteryczną słowiańszczyzną i teoriami spiskowymi – prowokował do działania oddolnych „fact-checkerów”, którzy skrupulatnie weryfikowali kolejne opowieści „Jaszczura”, m.in. dotyczące jego pochodzenia czy źródeł utrzymania.

Wszystko to – w połączeniu z jego aktorską przeszłością – sprawiało wrażenie, że mamy do czynienia z pomysłowo wykreowaną postacią i starannie zbudowaną mitologią. W środowiskach narodowych pojawiły się głosy, że Olszański to „rozbijacz” podstawiony, by skompromitować antysystemową prawicę od środka. Jego działalność uznawano za obciążającą, zwłaszcza w kontekście jego publicznej identyfikacji z ruchem nacjonalistycznym, który przez lata starał się zrzucić z siebie wizerunek antyinteligenckiego wulgarnego i przemocowego. A taki właśnie wizerunek Olszański eksponował ochoczo i konsekwentnie. Narodowcy byli świadomi, że opinia publiczna nie rozróżnia

eprasa.pl ac5f701e87

poszczególnch organizacji narodowych, i Olszański „pracuje” również na ich konto. Stąd – odcięły się od niego takie środowiska jak np. Ruch Narodowy, ONR czy Stowarzyszenie Marsz Niepodległości. Zdawałoby się, że bez ich medialnego tlenu reflektor skierowany na Olszańskiego zgaśnie raz na zawsze. A jednak...

Przemysł radykalizmu

W świecie neoliberalnym ideologiczny radykalizm stał się towarem jak każdy inny. Wiadomo, że jego efektowna ekspozycja może przynieść zysk – łatwiej niż treści umiarkowane przyciąga uwagę publiczności, którą następnie da się spieniężyć na wiele sposobów: poprzez zrzutki, reklamy, płatne spotkania czy subskrypcje. Nic więc dziwnego, że w stronę Olszańskiego zwrócili się tacy youtube'owi gracze jak Eugeniusz Sendecki, Rafał Mossakowski czy Damian Bieńko. Zapraszali „Jaszczura” do swoich internetowych programów właśnie ze względu na jego medialne walory. Olszański miał wszystko to, co wówczas liczyło się na scenie antysystemowej: oryginalność, charyzmę, bezwzględną pewność siebie i umiejętność gry aktorskiej. Jedynym „merytorycznym” wymogiem była antymainstreamowość – niezależnie od tego, czy wyrażała się w prorosyjskości, czy w dostrzeganiu smug chemicznych (chemtrails) układających się w kształt gwiazdy Dawida. Jak to się mówi w slangu użytkowników narkotyków – „byle klepało”, a klepało tym mocniej, im bardziej szło pod prąd dominujących narracji.

W środowisku nie brakowało opinii, że wspomniani „mecenasi” traktowali Olszańskiego z pewnym cynizmem. Zapewniali mu platformę i zaplecze techniczne, ale zarabiali na jego popularności, niekoniecznie dzieląc się zyskiem po partnersku. Według relacji samego Bieńki (później skłóconego z „Jaszczurem”), Olszański chętnie realizował jego sugestie dotyczące treści, a Sendecki miał traktować go jak cyrkową „małpkę”. Sam „Jaszczur” znosił to przez pewien czas – być może nie do końca świadomy, jak bardzo jest wykorzystywany. W końcu jednak zerwał te współprace i trafił na słynnego „Ludwiczka”, czyli Marcina Osadowskiego – wcześniej związanego m.in. z Januszem Korwin-Mikkem i świetnie wprawionego w kunszcie internetowej „zadymy”.

Współpraca z Osadowskim wyniosła Olszańskiego na nowy poziom. Do tradycyjnego „walenia w system” słowem i demonstracjami dołączono performance oraz umiejętne zabiegi społecznościotwórcze. Symbolem tej strategii stały się widowiskowe akty – jak palenie statutów kaliskich czy tworzenie tzw. list śmierci parlamentarzystów wspierających politykę covidową. Ruch Kamratów zyskał rozpoznawalne hasła, stylizowane stroje, rytuały, imprezy integracyjne, a nawet „męczenników” – przedstawianych jako ofiary „sanitaryzmu”.

Szybko okazało się, że Kamraci trafiają nie tyle do ludzi już zagospodarowanych przez inne ruchy antysystemowe, ile do zupełnie nowych segmentów „rynku radykalizmu”. I nie chodzi tylko o „doły społeczne”, do których Olszański chętnie się odwołuje, przekonując o swoim gminnym rodowodzie. W jego przekazie odnaleźli się także przedstawiciele inteligencji z wyraźnym psychicznym odchyleniem, osoby znudzone poprawnością, poszukujące czegoś „offowego” i ostentacyjnie wykraczającego poza normę. Plus – oczywiście – ludzie przyciągani groteskową formą, traktujący „Jaszczura” jako przedniego dostarczyciela rozrywki.

Co pod łuską?

Gdybym miał zaryzykować tezę, co tak naprawdę kryje się pod przedsięwzięciem pod tytułem Bracia Kamraci, powiedziałbym, że pierwotną motywacją były przede wszystkim cele komercyjne – pomysł na udany interes z pogranicza polityki i cyrku. Szybko jednak okazało się, że są ludzie gotowi traktować ten projekt na serio. Dlaczego? Bo podlegają silnemu mechanizmowi plemiennemu – potrzebie jednoczenia się w grupy, zwłaszcza wtedy gdy czują się atakowani ze wszystkich stron, a w życiu poza siecią są outsiderami. Trudno więc dziś twierdzić, że wszystko, co dzieje się na streamach czy spotkaniach Kamratów, to wyłącznie wyreżyserowany spektakl. Część emocji wydaje się autentyczna – i to właśnie więzi międzyludzkie stanowią oś tego ruchu, podczas gdy osobliwy, niemal postmodernistyczny konglomerat poglądów odgrywa rolę drugorzędną.

A sam Olszański? Cóż – jak ujął to jeden z jego byłych współpracowników, „gra swoją rolę życia”. I być może to właśnie ta rola daje mu poczucie spełnienia – coś, co dla mężczyzny w jego wieku bywa sprawą kluczową.

> OLSZAŃSKI, JAK UJĄŁ TO JEDEN Z JEGO BYŁYCH WSPÓŁPRACOWNIKÓW: „GRA SWOJĄ ROLĘ ŻYCIA”.

eprasa.pl ac5f701e87

Piotr Skwieciński

Ta heroiczna Łęcka

Izabela Łęcka z „Lalki” Bolesława Prusa to emancypantka, która nie chce wychodzić za mąż, jej główną cechą charakteru jest niezależność, „wywodząc się z arystokracji, starała się wyrwać z pewnych konwenansów. To postać samotna, poszukująca siebie, pragnąca bliskości, niezwykle odważna i zdeterminowana. Tytuł powieści uprzedmiatawia bohaterkę, ale też jest przewrotny, bo ona z przedmiotu chce się stać podmiotem. Rodzice traktują ją jako przedłużenie rodu, a ona się temu sprzeciwia, idzie po swoje. Taka postawa wymaga niesamowitej odwagi. Losy Łęckiej są opowieścią o ogromnej determinacji. Jest ona doskonałym przykładem postaci, która jest odważna – stawia na rozwój, sprzeciwia się środowisku, z którego się wywodzi” – deklamuje w „Gazecie Wyborczej” Sandra Drzymalska, mająca w nowym serialu Netflixa grać tę bohaterkę.

Oczywiście taka wizja obiektu miłości kupca Stanisława Wokulskiego jest całkowicie sprzeczna z tym, co każdy może wyczytać w książce. Łęcka „wyrywająca się z konwenansów”? Mój Boże, przecież ona jest tych konwenansów uosobieniem. Łęcka odważna? Sprzeciwia się „traktowaniu jej jako przedłużenie rodu”? Niby jak? Przecież chce wyjść jak najlepiej za mąż, chce żeby przyszły mąż dorównywał jej pozycją społeczną, znaczy żeby też był co najmniej hrabią, i jej sprzeciw wobec perspektywy związku z Wokulskim wynika właśnie z tego jego fundamentalnego braku, czyli z nie posiadania tytułu. Drzymalska, jak przystało w epoce kształtowanej przez różne „Ludowe historie”, zapowiada, że w serialu wielką rolę odgrywać będzie „klasowość”. Jak to pogodzić z heroizacją Łęckiej, która jest inkarnacją klasowości i z pozycji – właśnie – klasowych brzydzi się Wokulskim? Która, jak opisuje Prus, snuje infantylne, właśnie niezwykle klasowe wizje społeczeństwa? Nie mam pojęcia.

Umożliwiającym takie przewrotki chwytem jest fraza „na motywach”. Drzymalska podkreśla, że powieść Prusa będzie tylko inspiracją dla twórców serialu, więc wierności wobec pierwowzoru nie ma co oczekiwać.

Przyznam, że bardzo mnie takie zabiegi drażnią. Drażnią niezależnie od tego, czy ich ofiarą pada Prus, czy ktoś inny. Niezależnie również od tego, czy wizję rzeczywistości, stworzoną niegdyś przez pisarza, uważam za słuszną czy nie. Na przykład – Sienkiewiczowską wizję przyczyn konfliktu polsko-ukraińskiego z „Ogniem i mieczem” uważam, na przykład, za nieprawdziwą. Jerzy Hoffman przerobił wojnę szlachetnych Polaków przeciw rozpasanej czerni na tragiczny konflikt wewnątrz Rzeczpospolitej, w której kozackie postacie, przez Sienkiewicza ukazane jako negatywne, stają się pozytywne, przy tym mądre i dostojne, i ogólnie mające słuszność. Myślę, że Hoffman miał w pojmowaniu tego, co stało się w „dziwnym roku 1647”, więcej racji niż Sienkiewicz. A przecież – nie powinien odwracać Sienkiewiczowskich znaczeń. Nie powinien robić tego autorowi, który nie może się bronić. Uważasz, że nieżyjący autor fundamentalnie się mylił? To nie kręć na podstawie jego książki filmu.

I podobnie jest z „Lalką”. Znacznie mniej chodzi mi o ideologiczne elukubracje pani Sandry („w XIX wieku rodziły się ruchy emancypacyjne, ale walka cały czas trwa”, „słowo «progres» jest czymś dobrym”), i nawet nie o to, jaka była w istocie Łęcka. Ważne jest to, że kreacja pani Sandry nie będzie Łęcką Prusa. A jest fundamentalną nieuczciwością adaptowanie dzieła zmarłego wbrew niemu. Wbrew jego postrzeganiu świata.

Chcecie stworzyć film o odważnej dziewczynie z arystokracji, niemieszczącej się w swoim środowisku i swojej epoce? Bardzo proszę. Tylko napiszcie sobie zupełnie nowy scenariusz, bez nawiązań do historycznego dzieła, którego w ten sposób odczytać się nie da. Nie podpierajcie się nazwiskiem kogoś, kto tego by nie chciał, a nie może już się sprzeciwić.

Wtedy będzie uczciwiej.

eprasa.pl ac5f701e87

To ważne, żeby przekazywać dzieciom SWOJE WARTOŚCI

AUTORSKIE KOSZULKI ZWIĄZANE
Z TEMATYKĄ SOLIDARNOŚCI
LUB KOSZULKI Z LOGO ZWIĄZKU
ZNAJDZIESZ NA
WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

eprasa:ac5f701e87

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego

Tomek: – Rok 1984. Około 40-letni mężczyzna mieszkający na Ochocie w Warszawie siedzi w więzieniu – sprawa radomska. Umiera jego mama. Syn nie dostaje przepustki na pogrzeb.

Basia: – Chciał Pan dać to zdjęcie, bo sytuacja skojarzyła się Panu ze sprawą matki 4-miesięcznego Oskarka, która na pogrzebie syna była w więziennym drelichu i kajdankach zespolonych.

– Tak. A wracając do tego człowieka z 1984 roku, byłem wówczas na cmentarzu Bródnowskim. W pewnej odległości od uroczystości pogrzebowych było czworo tajniaków. Pod koniec położyli kwiatek na innym grobie.

– Zdjęcie, które dziś publikujemy, pochodzi jednak z innego miejsca.

– To kościół św. Stanisława Kostki na Żoliborzu. Msza św. odprawiona po amnestii. W jej ramach także ten człowiek wyszedł na wolność.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl ac5f701e87

Jedni na co dzień żyją w ubóstwie, nie mają dachu nad głową, a przez społeczeństwo wyrzuceni są na margines. Drudzy są znani i cenieni, a o ich życiu rozpisują się gazety i portale. Jak **połączyć** obie te grupy? To na pozór niemożliwe zadanie od lat udaje się zrealizować warszawskiej Fundacji Kapucyńskiej. A wszystko dzięki akcji „Artyści dla Bezdomnych".

Anna Maj

Fot. Fundacja Kapucyńska (3)

NIE O ZUPĘ chodzi

W sobotę, 21 czerwca, od wczesnych godzin porannych dało się zauważyć, że przy klasztorze Braci Mniejszych Kapucynów w Warszawie szykuje się wielkie święto. Wolontariusze, pracownicy Fundacji Kapucyńskiej i zakonnicy przygotowywali piknik, podczas którego podopieczni Fundacji mogli spotkać się z dobrze im znanymi artystami. Ostatnie godziny były czasem wytężonej pracy – dekorowanie stołów ustawionych na klasztornym placu, rozstawianie jednorazowych naczyń i sztućców, rozlewanie i rozstawianie napojów oraz słodkiego poczęstunku. W tym samym czasie w fundacyjnej kuchni trwała walka z czasem, aby wszystkie podawane posiłki były smaczne i ciepłe. A był tego ogrom

eprasa.pl ac5f701e87

– 300 litrów fasolki po bretońsku i 300 litrów bigosu. Do tego grillowana kiełbasa z cebulką i pieczywo. Wszystko po to, aby każdy znalazł coś smacznego dla siebie.

Każdy może coś ofiarować

Zanim goście zaczęli wspólnie świętować, wszyscy zgromadzili się przy innym stole – eucharystycznym. Msza Święta sprawowana w kościele pw. Przemienienia Pańskiego zgromadziła setki osób. Obok siebie w kościelnych ławkach siedziały osoby w kryzysie bezdomności, artyści, wolontariusze i mieszkańcy Warszawy. Razem tworzyli piękną i wyjątkową wspólnotę. Mszy przewodniczył metropolita warszawski ks. abp Adrian Galbas. W homilii przypomniał postać kapucyna bł. Aniceta Koplińskiego, jałmużnika przedwojennej Warszawy. – Miał otwartą dłoń wobec każdego – wobec bogatego po to, żeby mógł dać, wobec biednego zaś po to, żeby mógł wziąć. Miał przede wszystkim otwarte serce wobec każdego. Bogaty dawał, ponieważ był przez bł. Aniceta przyjęty także ze swoją duszą nie zawsze spokojną i piękną. Biednym jałmużnik Warszawy ofiarował swoją duszę – zaznaczył arcybiskup Galbas. Dodał, że każdy człowiek ma coś do dania od siebie. – Nie ma ludzi, którzy mają tylko brać. Nie ma człowieka, który jest jedną wielką potrzebą i nie ma człowieka, który jest jednym wielkim spełnieniem. Każdy z nas coś ma i każdy czegoś nie ma. Każdy coś umie i każdy czegoś nie umie. Każdy coś osiągnął i każdy czegoś nie osiągnął. Każdy coś zyskał i każdy coś stracił. Na tym polega tajemnica budowania wspólnoty. Ona jest zdrowa tylko wtedy, kiedy coś do niej wnoszę i coś z niej zabieram. Kiedy i ty też coś wnosisz i coś z niej zabierasz – wyjaśnił.

NIEWAŻNE, KTO ILE MA, WAŻNE, ILE SERCA OKAZUJE INNYM.

Czym jest twoja bezdomność?

Nawiązując do czytanego fragmentu Listu św. Pawła do Koryntian, arcybiskup Adrian Galbas wskazał, że każdy człowiek ma w sobie słabe punkty. – One przypominają, że nie jesteśmy idealni, że jesteśmy słabi. Może to być sprawa związana z naszą fizycznością, a może sprawa emocji i problemów z relacjami. Mogą to być także nasze zmagania wewnętrzne. Co we mnie sprawia, że jestem słaby? Co jest dzisiaj moją bezdomnością? – pytał. Wskazał na dwa rodzaje bezdomności. Jawną, która przejawia się w braku mieszkania. – Warszawa jest pełna osiedli, w których jest mnóstwo wieżowców i mieszkań. To właśnie w nich żyją na co dzień bezdomni i choć oni mają dach nad głową, to nie mają nikogo koło siebie. Nie mają żadnej relacji i doświadczenia tego, że są kochani. Zastanówmy się co jest moją bezdomnością? – zachęcał do refleksji metropolita warszawski.

OTWARTA NA OŚCIEŻ BRAMA NA PRZYKLASZTORNY PLAC ZACHĘCAŁA KAŻDEGO DO WEJŚCIA, ZATRZYMANIA SIĘ I WSPÓLNEGO ŚWIĘTOWANIA.

Wśród bliskich

Otwarta na oścież brama na przyklasztorny plac zachęcała każdego do wejścia, zatrzymania się i wspólnego świętowania. Jako pierwsza tłum porwała Halina Frąckowiak. – Jestem wzruszona i zaszczycona, że mogę tu być – mówiła artystka, która zaśpiewała swoje największe przeboje. Jej talent docenili słuchacze, nagradzając piosenkarkę gromkimi brawami. Podobnie było z wieloma innymi artystami, którzy tego dnia przybyli na Miodową 13, aby dzielić się tym, co mają, z podopiecznymi Fundacji Kapucyńskiej. – Bardzo podobała mi się poezja prezentowana przez Marcina Kwaśnego. Taki luźny facet z niego i życzliwy – mówi „Tygodnikowi Solidarność” Artur. A siedzący obok niego Zbigniew nie krył wzruszenia świadectwem, którym podzielił się Michał „Misiek” Koterski. – Nie pierwszy raz był on tu z nami. Można powiedzieć, że to nasz „ziom”, ale lubię go słuchać. Może i ja kiedyś stanę na nogi – wyjaśnia mężczyzna od 16 lat żyjący na ulicy. Do Fundacji Kapucyńskiej przychodzi od ponad 8 lat. Dlaczego wraca? – Dzięki spotkaniom z wolontariuszami i braćmi kapucynami zapominam o swojej przeszłości, o samotności i tym życiu, którego nigdy bym nikomu nie życzył – dodaje.

Wśród publiczności był też Adam, który podopiecznym Fundacji Kapucyńskiej jest od bardzo dawna. Dlatego to nie była pierwsza akcja

eprasa.pl ac5f701e87

„Artyści dla Bezdomnych”, w której uczestniczył. Tegoroczna była jednak dla niego wyjątkowa. – Pamiętam te spotkania sprzed pandemii. Byłem wtedy na dnie. Dziś powoli wychodzę na prostą. Spójrz, obok mnie siedzi piękna kobieta, którą kocham. Nasz dziewięciomiesięczny synek jest pod opieką babci, więc my spędzamy popołudnie na Miodowej z bliski nam ludźmi. Teraz nie korzystam tak często z pomocy Fundacji, ale wracam tu jak do siebie. Ciężko zliczyć, ile razy tutaj wyciągano mnie z dna. To, że mogłem wrócić dawało wiarę w człowieczeństwo – mówi Adam.

Dom

Od 11 lat bezdomnym jest Wiesław. Jak sam przyznaje, do jego sytuacji życiowej doprowadziły go popełnione błędy i nałóg. – Nie owijam... wóda mnie sprowadziła na ulicę. Zaryzykowałem i wróciłem z Wielkiej Brytanii do Polski, ale tu taniej siły roboczej szukali, co mnie wkur***o. Robota się mnie nie trzymała i zacząłem przepijać oszczędności. Efekt? Sama widzisz. Straciłem wszystko: rodzinę, dom, dawne życie – wspomina. Na pytanie, czy żałuje, odpowiada: „już nie”. – Tak się życie potoczyło. Stara sobie ułożyła życie na nowo. Dzieciaki dorosły. Jedynie żal mi, że nie mam kontaktu z synami i wnukami. Przez lata wierzyłem, że zdechnę jak pies pod płotem, nikomu niepotrzebny. Kiedy wylądowałem w Warszawie 4 lata byłem bezdomnym. Dopiero tutaj na Miodowej poczułem, że wciąż dla kogoś jestem ważny – wyznaje mężczyzna mający około 60 lat.

TO WIELKIE DZIEŁO NIE WYROSŁOBY, GDYBY NIE OFIARNOŚĆ I POŚWIĘCENIE WOLONTARIUSZY.

Od 2018 roku Fundacja Kapucyńska prowadzi Dom bł. Aniceta Koplińskiego. To miejsce z duszą. Osoby potrzebujące mogą tu liczyć na ciepły posiłek, ale także na leki i czystą odzież oraz wsparcie duchowe. Sami podopieczni podkreślają, że to nie posiłki i dary są najważniejsze. – Na Miodowej nie o zupę chodzi. Czasem, kiedy już odechciewa się wszystkiego, to wspominam braci, wolontariuszy i ten dom, do którego zawsze mogę wrócić. Nikt mnie nie ocenia, nie przeklina i nie traktuje jak śmiecia. Teraz są wśród nas aktorzy, dziennikarze i piosenkarki. Nikt z nich nawet przez moment nie dał odczuć, że jest lepszy, bo znany i bogaty. O taki Radek Pazura to nasz chłop. Podejdzie, nie brzydzi się ręki podać, pożartuje i to nie tylko od święta – mówi nam Andrzej.

Dać coś od siebie

W tym roku wśród artystów, którzy wystąpili na scenie, byli: Halina Frąckowiak, Antonina Krzysztoń, Zoja Rolińska, Viola Brzezińska, a także Marcin Kwaśny, Michał „Misiek” Koterski i Piotr Woźniak. Już tradycyjnie akcję wsparli Przemysław Babiarz i Krzysztof Ziemiec. Obaj od lat angażują się w wydarzenia organizowane przez Fundację Kapucyńską. Posiłki wydawali także Krystian Wieczorek i Maria Szafirska. Nie mogło zabraknąć także fundatora aktora Radosława Pazury. – Spotkanie z osobami potrzebującymi to możliwość podzielenia się częścią swojego życia. Tego typu inicjatywy są sposobnością do poznania siebie i drugiego człowieka. One mają unikalną wartość. Niesamowite jest to, że ci ludzie przychodzą dla nas, a my dla nich. Jesteśmy sobie wzajemnie potrzebni – podkreślił w rozmowie z „Tygodnikiem Solidarność” Radosław Pazura. Aktor wspomniał początki Fundacji. – Kiedy otrzymałem propozycję zostania jej fundatorem, nie miałem pojęcia, w jakim kierunku to wszystko pójdzie. Dziś widzę, jak wiele dobra dzięki niej wyrosło i cieszę się, że jestem tego częścią. Nie mam wątpliwości, że bez Bożej pomocy i otwartości ludzkich serc nie byłoby tego wszystkiego – dodał.

Radosław Pazura podkreśla, że cieszy go także obecność artystów. – Z rozmów z nimi wiem, że to spotkanie też jest dla nich ważne. Są tutaj nie dla popularności, a dla drugiego człowieka. Ofiarują swój czas i dostają tak wiele życzliwości i serdeczności. To wzajemne dzielenie się sobą pokazuje, że jest coś więcej. Jest też nadzieja, która oparta na Panu Bogu jest istotą naszego życia – dodał aktor.

eprasa.pl ac5f701e87

Dom bł. Aniceta Koplińskiego działa przy zakonie Braci Mniejszych Kapucynów. Ich prowincjał o. Paweł Szymala podkreśla w rozmowie z nami, że pomoc najbardziej potrzebującym od lat mocno wpisana jest w kapucyński charyzmat. – Jako bracia kapucyni, synowie św. Franciszka, jesteśmy zawsze blisko tych, którzy zagubili sens swojego życia, są odrzuceni. Św. Franciszek poświęcił swoje życie osobom odrzuconym. Wychodził do osób trędowatych na obrzeża Asyżu. Oni byli nie tylko odrzuceni, ale też skazani na śmierć, także społeczną. Ten charyzmat w nas trwa. Ten trędowaty odrzucony jest w każdym czasie w naszym społeczeństwie. I my chcemy im służyć – mówi. Na pytanie, jak udaje się połączyć na pozór dwa odległe od siebie światy, odpowiada: – Nie byłoby to możliwe, gdyby nie Jezus Chrystus. On nas jednoczy, On nas miłuje i uczy miłować bliźnich. Jest najdoskonalszym wzorem dla nas.

Odrobina miłości

Zarówno bracia kapucyni, jak i pracownicy Fundacji podkreślają, że to wielkie dzieło nie wyrosłoby, gdyby nie ofiarność i poświęcenie wolontariuszy. Tych, którzy codziennie przychodzą, aby bezinteresownie służyć bliźniemu.

Wśród nich są Dorota i Łukasz Fabiańscy. Mężczyzna podczas akcji „Artyści dla Bezdomnych” wydawał posiłki, ale też pilnował porządku. – Pomoc otrzymują wszyscy, ale warunek jest jeden – muszą być trzeźwi. Dlatego też pilnowaliśmy wraz z kolegami, aby osoby pod wpływem alkoholu czy środków odurzających nie wchodziły na teren klasztoru – mówi Łukasz. Dodaje, że ten dzień był inny niż zwykle, nie tylko z uwagi na obecność artystów i dziennikarzy. – Spotkanie to pozwoliło wolontariuszom spędzić więcej czasu z podopiecznymi i lepiej się poznać, wzajemnie wysłuchać. Już na porannej Mszy można było poczuć atmosferę jedności. Wspólnie modlimy się i wspólnie świętujemy – podkreśla wolontariusz. Razem z żoną Dorotą w jadłodajni pomagają od ponad 2 lat. – Ofiarowujemy bliźniemu jeden dzień w tygodniu. Uczymy się w tym miejscu okazywać miłość każdemu. Talerz zupy oczywiście jest ważny, ale ważniejszy jest uśmiech i duchowe wsparcie – zaznacza Łukasz Fabiański.

> ***Pamiętam te spotkania sprzed pandemii. Byłem wtedy na dnie. Dziś powoli wychodzę na prostą. Spójrz, obok mnie siedzi piękna kobieta, którą kocham.***
>
> **ADAM,**
> **podopieczny Fundacji Kapucyńskiej**

Od blisko 10 lat wolontariuszką Fundacji Kapucyńskiej jest Katarzyna Gawłowicz. Na pytanie, czym dla niej jest służba bezdomnym? Od razu odpowiada: tym, co mnie buduje. – Ten wolontariat sprawia, że czuję się potrzebna. Chłopaki potrzebują mnie, a ja jeszcze bardziej potrzebuję ich. Różnimy się tylko tym, że mam gdzie mieszkać, a oni nie. Uczy mnie to prostoty, szczerości i wychodzenia do innych. Pokazuje, że niewiele się różnimy między sobą – mówi Katarzyna.

Inna wolontariuszka Beata Czarnuszewicz wskazuje na atmosferę, która panuje w jadłodajni. – Każdego dnia jest dużo pracy. Przed akcją z artystami było jej jeszcze więcej, ale panował porządek i ogólna radość, że razem robimy coś dla innych. Tak zresztą jest codziennie... Każdy wie, co ma robić, i chętnie też pomaga nowym wolontariuszom. Przychodzimy służyć, więc tu uczymy się pokory. Oddania dla innych, miłości do drugiego człowieka uczy nas prezes Fundacji Kapucyńskiej Katarzyna Tsiantos. Kasia dla każdego zawsze znajdzie czas, wysłucha, wesprze. Podobnie jak nasi bracia – Szymon Kopko, Tomasz Gawroński i Daniel Stelmaszek. Oni swoje serca otwierają dla osób potrzebujących, ale są też nieocenionym wsparciem dla wolontariuszy – zaznacza Beata.

Fundacja Kapucyńska poprzez akcję „Artyści dla Bezdomnych” łączy różne grupy społeczne i pokazuje, że przy odrobinie chęci można wspólnie rozmawiać, żartować i biesiadować. Nieważne, kto ile ma, ważne, ile serca okazuje innym.

eprasa.pl ac5f701e87

KULTURA

Czytaj też:
Performance politycznie zaangażowany 54

Jeśli artysta nie jest wariatem, TO NIE JEST ARTYSTĄ

– Staram się od zawsze, żebym miał wewnętrzny spokój i radość z życia. Kiedyś nie miałem profesjonalnych instrumentów i to powodowało mój smutek. Od zawsze byłem konsekwentny, bo lubię to, co robię, i dlatego wciąż zajmuję się muzyką, no i mieszkam w lesie – mówi **Władysław Komendarek**, muzyk, kompozytor, instrumentalista, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

Fot. Claudia Zyzylewska

– Chciałby Pan coś zmienić w swoim artystycznym życiu?
– Nic bym nie zmieniał. Kiedy miałem dwadzieścia lat, to zmieniłem podejście do naszej ziemskiej cywilizacji.

– Czyli Pan żyje na innej planecie?
– Tak.

– To niech Pan opowie o swojej planecie, na której Pan rezyduje.

– Zeta Reticuli 4. Oddalona od Ziemi czterdzieści lat świetlnych. Ponieważ nie mogę zagrzać miejsca w jednej przestrzeni, to teraz jestem na innej planecie, egzoplanecie.

eprasa.pl ac5f701e87

Niewielu jest artystów w polskiej muzyce tak odrębnych i niezależnych jak Władysław Komendarek. Od czterech dekad jest jednym z **najbardziej bezkompromisowych** twórców muzyki elektronicznej w Polsce. W Europie. We Wszechświecie. Gra na syntezatorach w niepowtarzalnym stylu. Tworzy muzykę, którą nie sposób pomylić z nikim innym. Jego kompozycje wykorzystywano w filmie, teatrze i telewizji, a także chętnie samplowano. A do tego wszystkiego... pochodzi z innej planety.

– Dlaczego nie mógł się Pan odnaleźć na Ziemi?
– Gdyż są wojny. Ja tego nie cierpię. Lubię spokój. Nie chcę się otaczać toksycznymi ludźmi. Zamiast z nimi funkcjonować, wolę się uczyć. Nieustannie staram się rozwijać swój warsztat. Lewą ręką gram solówki na syntezatorze.

– Na ilu syntezatorach gra Pan jednocześnie w trakcie koncertu?
– W Polsce nikt nie pozwoli na to, żebym rozkładał cały mój sprzęt przez dwa dni. Na warunki polskie biorę 5–6 syntezatorów. To dla mnie jest za mało. Kiedy tworzę na żywo, to potrzebuję mieć na poczekaniu coś innego. Każdy syntezator to są miliardy możliwości. Nie po to mam tyle elektroniki, żeby grać pop. Gram różne rzeczy, mieszam gatunki. Nie ograniczam się.

NIEKTÓRZY BOJĄ SIĘ ZE MNĄ DYSKUTOWAĆ.

– To jest Pan chodzącą muzyką.
– Taki jestem [śmiech]. Muzyką można leczyć chorych ludzi.

– Skąd Pan bierze spokój i radość z życia?
– Staram się od zawsze, żebym miał wewnętrzny spokój i radość z życia. Kiedyś nie miałem profesjonalnych instrumentów i to powodowało mój smutek. Od zawsze byłem konsekwentny, bo lubię to, co robię, i dlatego wciąż zajmuję się muzyką. A po drugie mieszkam w lesie.

– Wciąż w Sochaczewie?
– Zgadza się. Tam mam spokój. Mam niedaleko obwodnicę w kierunku Poznania, ale mi to nie przeszkadza. Wiesz co, przejdźmy na „ty", bo nie lubię formy „pan". W rocku i w heavy metalu na „pan" się nie mówi.

– Dobrze. Która estetyka muzyczna jest najbliższa Twojemu sercu?
– Bardzo dobre pytanie. Stylistyka ta to jest progresywny rock, w różnych odmianach. Tutaj ważne są palce, a nie elektroniczne dodatki. I to jest życie. Nogami też gram. Kiedyś też nosem próbowałem [śmiech].

– Czyli żyjesz muzyką.
– Cały czas. Nieustannie [śmiech]. Mogę Ci nawet teraz zaśpiewać.

– A proszę bardzo!
– [Władysław Komendarek śpiewa wymyślone przez siebie frazy]. Szkoda, że tego nie nagrałem, co przed chwilą zrobiłem. Czasami ktoś zadaje pytanie, kiedy i jak improwizuję. Odpowiadam, że to robię, ale pamiętajmy, że 80 procent muzyki, to jest forma przemyślana wcześniej w głowie. Od kilku lat tworzę wyłącznie na scenie, w domu tego nie robię. Powiem Ci, że nie zauważyłem, żeby w Polsce ktoś tak robił. Mam całkowity luz. Powiem Ci, że mam ogród zoologiczny w domu. Zwierzęta same do mnie przychodzą. Ostatnio była u mnie nawet sarna.

– To jaki masz zwierzyniec u siebie w Sochaczewie?
– Na pewno mam ptaszki, które bardzo ładnie śpiewają. Są to np. skowronki. Bardzo mnie zaskoczyły kosy, które mają niesamowity głos. Jednak, żeby nie było tak pięknie, kosy robią niesamowity bałagan. Gdy spadają liście z drzew, robię z nimi porządek i tworzę kopiec, a na drugi dzień już go nie ma. Pewnie kosy szukają jakichś robaczków i nie mam do nich pretensji. Przecież muszą coś jeść.

– Co robisz, że nie interesują Cię doczesne problemy?
– Trzeba mieć silną wolę. Trzeba dążyć do tego, co się najbardziej lubi. Nie dawać się manipulować.

– Jednak trudno statystycznemu Kowalskiemu, który przyzwyczaił się do swojej strefy komfortu, prowadzić Twój styl życia.
– No tak! Mogą powiedzieć, że jestem wariatem.

– To znaczy?
– Jeśli artysta nie jest wariatem, to nie jest artystą.

– Jeżeli nazwę Cię wariatem, to nie odbierzesz tego negatywnie?
– A skąd!

– Jak ludzie reagują na Twoje wariactwo?
– Na ulicy robię takie patenty, że jestem inaczej ubrany. Na wywiady i na koncerty mam zupełnie inną stylizację, niż gdy przemieszczam

eprasa.pl ac5f701e87

się po mieście, czy gdy mam coś załatwić w urzędzie. Wtedy ludzie mnie nie poznają.

– Nie gubisz się w tych kreacjach?
– Nie. Mam 20 strojów.

– Nie myślałeś o tym, żeby być działaczem społecznym?
– Działam przez muzykę. Interesuję się filozofią. Wymyślam dużo bajek. Zajmuję się też grafiką, a wzięło się to z nudy i potrzeby zagospodarowania czasu. Chcą nawet wystawę zrobić z moich rysunków.

BARDZO MNIE ZASKOCZYŁY KOSY, KTÓRE MAJĄ NIESAMOWITY GŁOS.

– Mam wrażenie, że bardzo często odmawiasz grania koncertów ze względu na swoje wymagania sceniczne.
– W życiu! Nigdy nie odmawiam grania koncertów. Tylko trzeba przede wszystkim przestrzegać warunków, które są ustalane wcześniej.

– Czyli jesteś też biznesmenem, a nie tylko artystą.
– Sam nie wiem, czy jestem, ale zarobiłem na płytach winylowych.

– Można powiedzieć, że Twoja wartość z roku na roku wzrasta.
– Bardzo ładnie to określiłeś.

– Jaka gałąź Twojej działalności jest najbardziej opłacalna finansowo?
– Reklamy w telewizji. W latach 80. zrobiłem ich ok. 40. Natomiast byłem bardzo wkurzony, gdy kiedyś bez mojej wiedzy wykorzystali mój utwór „Pogoń za laserem" w reklamie. Wtedy była afera. Musiałem namierzyć osobę, która to zrobiła, a później otrzymałem za to pieniądze. Wzięli moją kompozycję z archiwum TVP. Jednak awantury nie robiłem, bo nie jestem agresywny.

– Jak wyglądała historia dotycząca tego, że 50 Cent, bardzo znany amerykański raper, wykorzystał fragment Twojego utworu?
– Mam to wszystko udokumentowane. Zanim ją opublikował, wysłał do mnie wersję z fragmentem mojego utworu i pokazał, jak widzi ten kawałek. Piosenki można posłuchać w internecie nazywa się „Crazy".

– Jak wygląda Twój dzień?
– Normalnie. Kiedy wstaję rano, to jem trzy jabłka. Później piję szklankę ciepłej wody z malutką łyżeczką miodu. Jem też pokrzywy.

– W jakiej formie jesz pokrzywy?
– Czarny chleb, masło albo serek i na to pokrzywa. Jem też dużo marchwi. Piję tran. Piję dużo wody. Nie jem przetworzonego jedzenia. Jestem rocznik 1948.

– Jakim byłeś dzieckiem?
– W szkole podstawowej byłem ubierany inaczej niż moi rówieśnicy. Miałem kokardkę we włosach, które były długie. Miałem też krawacik i garniturek. Byłem przez to trochę prześladowany. Mama przeniosła mnie do innej szkoły, i to się uspokoiło. Byłem inny.

– Co to oznacza, że byłeś inny?
– Krzyczeli, że idzie wirtuoz.

– Od kiedy zacząłeś grać?
– Od 8. roku życia. Próbowałem też grać na gitarze solowej, ale zrezygnowałem. Wolałem gitarę rytmiczną. Pamiętam, jak chciałem w zespole przebijać się przez kolegów gitarzystów, którzy ze względu na wzmacniacze byli głośniejsi ode mnie, a co ja wtedy robiłem? Grałem tak głośno, że aż miałem całe palce we krwi.

– Ile masz instrumentów w domu?
– Sporządziłem listę, około 150. A wiesz, co mi najbardziej psuje humor?

– Co takiego?
– Jak mi sprzęt nie działa. Bardziej szanuję wypożyczone sprzęty niż swoje.

– Co sądzisz o sztucznej inteligencji?
– Za jakiś czas spowoduje wielki kataklizm, mówią też o tym naukowcy. To jest łańcuch robotów, wystarczy, że jeden robot się pomyli i kicha. To samo tyczy się komputerów.

TRZEBA MIEĆ SILNĄ WOLĘ. TRZEBA DĄŻYĆ DO TEGO, CO SIĘ NAJBARDZIEJ LUBI. NIE DAWAĆ SIĘ MANIPULOWAĆ.

– Pojawiły się krytyczne opinie w branży muzycznej na Twój temat ze względu na prowadzony przez Ciebie styl życia?
– Niektórzy boją się ze mną dyskutować.

– Dlaczego?
– Bo jestem inny.

– Wciąż nagrywasz wszystkie swoje pomysły?
– Cały czas. Później to łączę i miksuję. Tak się tworzy muzyka.

eprasa.pl ac5f701e87

MIX PŁYT

Bartosz Boruciak

ADMA – ADMALAND
WYD. WŁASNE

Wakacje to czas zwiedzania nowych miejsc, które mają nas zachwycić. Co jest z Admalandem? Jest olbrzymia liczba odniesień do słodyczy, co ma wprowadzić słodką(?) atmosferę. W warstwie lirycznej Ada w każdym kawałka udowadnia swoją wartość przy akompaniamencie bitów, które niosą jej słowa. Pozostaje pogratulować wyboru producentów. Propozycja idealna na lato. Muzyka skłania do podbijania parkietu i oddania się tanecznym pląsam. Idealny krążek do zabawy. Tutaj nie ma czasu na smutek. Admaland to kraina dźwięków wypełnionych lukrem, a nie goryczą.

GRUBY MIELZKY – ZARAZ WRACAM
WYD. 2020

Cytując tiktokowy trend – „Klasa". Gruby zawsze dostarcza dobre linijki i historie, których słucha się z zapartym tchem. Mielzky śpiewający również robi wrażenie. Na rynku brakuje mi takich raperów, którzy charyzmą potrafią wypełnić przestrzeń i wyraźnie artykułować swoje myśli. W trakcie odsłuchu nie ma mowy o zmęczeniu i znużeniu. The Returners jak zawsze wysmażyli bity, w których raper odnajduje się jak ryba w wodzie. Mamy pianino, mamy klasyczne hiphopowe nuty, które docenią fani tego gatunku. Idealna rapowa uczta, których jest coraz mniej na polskich rynku. Dlatego jak zapraszają, to trzeba skorzystać i skosztować smacznych rapowych dań. Polecam!

LORDE – VIRGIN
WYD. UNIVERSAL

Pierwsza myśl? Poczekaj, Bartku, zaraz się rozkręci. Będzie uderzenie! No i nie było. W trakcie odsłuchu czułem się mocno niezaspokojony. Odniosłem wrażenie, że jadę na zaciągniętym hamulcu ręcznym. Kawałki chcą się rozkręcić, ale w ostatniej chwili coś je blokuje. Zmanierowany głos wokalistki również nie pomaga. Album nagrany na pół gwizdka. Polscy artyści taką Lorde wciągają na śniadanie, i to bez większego problemu. Brak energii, brak witalności. Nuda i flaki z olejem. Nie polecam!

4RESH WE7AKECARE – PIDŻYN
WYD. WŁASNE

Ten duet robi wrażenie. Członkowie WCK Ryfa Ri i Mada potrafią zadbać o hiphopowe serduszka. Z każdego słowa wylewa się pasja do rapu. A ja taką muzykę szanuję, gdy linijki kleją się jak rzep do psiego ogona w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Prozaiczne historie, które nabierają blasku na bitach Qzyna. W zalewie plastikowych fekaliów „Pidżyn" jest jak lekarstwo, które przyczyni się do poprawnego funkcjonowania jelit. Głowa sama chodzi. Tak się dzieję, kiedy czuje się miłość do kultury, z której się wyrasta, dojrzewa się w niej, a potem zbiera się smaczne i soczyste owoce. Sama słodycz, która nie zawiera pustych kalorii. Bardzo polecam!

eprasa.pl ac5f701e87

Performance politycznie zaangażowany

Kiedy polityka straciła powagę? Z pewnością sytuacje komiczne zdarzały się zawsze, bo zajmowanie eksponowanych społecznych stanowisk nie wynosi nikogo ponad ludzkie słabości czy fizjologię. Groteskowe wpadki zawsze starano się zatuszować w trosce o autorytet władzy – na tyle, na ile się dało.

Monika Małkowska

eprasa.pl ac5f701e87

Wodzów po przedawkowaniu procentów przed publicznymi występami tłumaczono zasłabnięciem, nadmiernym wzruszeniem bądź awarią systemu nagłaśniającego. Jednak są takie momenty, kiedy nie ma powodu maskować awantury przedsięwziętej właśnie w celu wywołania skandalu. Tradycją już stało się prowokowanie starć podczas miesięcznic smoleńskich. W zakłócaniu spokoju tych obchodów wyspecjalizowali się zadymiarze Arkadiusz Szczurek, Zbigniew Komosa i Babcia Kasia. Jak dotąd za permanentne prowokacje i hejty włos im z głowy nie spadł. Wyciszono także sprawę „wspinaczek" na Pomnik Ofiar Tragedii Smoleńskiej, które zainicjowano w 2018 roku pod ogłoszonym na Facebooku hasłem: „Kto pierwszy zdobędzie najsłynniejszy szczyt w kraju i okryje się chwałą". Znaleźli się „śmiałkowie", a jakże, rozbawieni wspinaczkowym wyczynem połączonym z pokazaniem środkowego palca policji. Tego roku w przededniu rocznicy tragedii monument wzięło w posiadanie Ostatnie Pokolenie. Jeden z nich oblał szczyt schodów sztuczną krwią; dwaj inni, żałobnie ubrani, złożyli wieńce – dla ofiar katastrofy i przyszłych poszkodowanych w katastrofie klimatycznej, zapowiadając dalsze działania, co zresztą nastąpiło. Jednak apele Ostatniego Pokolenia nie wywołały większych społecznych emocji. Za to zbiorową gorączkę wywołały sejmowe performance'y Grzegorza Brauna: najpierw zgaszenie menory przy użyciu gaśnicy proszkowej (fakt sprzed półtora roku, lecz wciąż przypominany), potem niedawna rozróba – niszczenie plansz poświęconych problemom osób LGBTQ+ (dodajmy: tablice naprawiono i ponownie ustawiono w Sejmie). Europoseł uzasadnił swoje postępowanie niezgodą na propagowanie seksideologii nie licującej z godnością miejsca. Co znamienne – w tym przypadku entuzjastyczne reakcje rodaków górowały nad głosami potępienia. Przy okazji przywołano uczestnictwo Brauna w akcjach Pomarańczowej Alternatywy z lat 80., antykomunistycznym i anarchistycznym młodzieżowym ruchu o happeningowo-prześmiewczym charakterze.

Artystyczny rodowód politycznych akcji

Powyżej opisane draki (i wiele im podobnych) mają swe źródło w sztukach wizualnych, a konkretnie w parateatralnych gatunkach jak: happening, akcja, interwencja, performance. Zasada podobna: tradycyjne dzieło po samotniczej pracy artysty eksponowane w zmaterializowanej postaci (rzeźba, obraz, rysunek), przestaje mieć znaczenie, o ile w ogóle powstaje. Na plan pierwszy wysuwa się upubliczniony proces twórczy. We wszystkich wymienionych rodzajach (nie do końca zresztą definiowalnych, jako że główną rolę odgrywa inwencja artysty) w centrum uwagi znajduje się twórca, któremu chodzi o poruszenie, zaskoczenie, a czasem uaktywnienie odbiorcy. Przyjmuje się, że tym pierwszym, który włączył samego siebie jako integralną część dzieła, był Jackson Pollock, stosujący radykalne metody malarskie: kapanie, chlapanie, rozlewanie, deptanie i rozjeżdżanie farby na rozłożonym na podłodze płótnie. Malarz dosłownie wchodził w środek obrazu, co zostało udokumentowane na wielu zdjęciach i filmach, w efekcie wywołując ogólnonarodową dyskusję. Co zaskakujące – sztukę Pollocka zaczął aktywnie promować Kongres Wolności Kultury, subsydiowany przez CIA, która to agencja uznała te abstrakcyjne kompozycje za… oręż w walce z komunizmem.

WODZÓW PO PRZEDAWKOWANIU PROCENTÓW PRZED PUBLICZNYMI WYSTĘPAMI TŁUMACZONO ZASŁABNIĘCIEM, NADMIERNYM WZRUSZENIEM BĄDŹ AWARIĄ SYSTEMU NAGŁAŚNIAJĄCEGO. JEDNAK SĄ TAKIE MOMENTY, KIEDY NIE MA POWODU MASKOWAĆ AWANTURY PRZEDSIĘWZIĘTEJ WŁAŚNIE W CELU WYWOŁANIA SKANDALU.

To zresztą nie jedyny przypadek wciągnięcia sztuki made in USA do Zimnej Wojny – prawdziwy szturm nastąpił w latach 60., kiedy na europejską arenę zwycięsko wkroczył amerykański pop-art. Jednak wcześniej action painting i metody Pollocka zainspirowały innych twórców do działań w bezpośrednim kontakcie z widownią. Z czasem własne ciało artysty stało się podstawowym medium kreacji, co nieraz miewało uboczne skutki szkodzące zdrowiu autora, a nawet zagrażające jego życiu.

Najdrastyczniej w latach 60. poczynali sobie Akcjoniści Wiedeńscy, świadomie prowokujący konserwatywne i katolickie austriackie społeczeństwo działaniami przypominającymi barbarzyńskie orgie. Już nie farba, lecz zwierzęca krew obficie lała się na płótna. I żeby tylko! Podczas działań Akcjonistów (zazwyczaj nagich) dochodziło

eprasa.pl ac5f701e87

do samookaleczeń, wydalania fekaliów, masturbacji, aktów płciowych plus rozsmarowywania po ciałach ekskrementów oraz produktów jadalnych. Najbardziej wymiotna (w sensie dosłownym) akcja odbyła się w czerwcu 1968 roku przy wtórze austriackiego hymnu. Tego było za wiele: wykonawcy zostali postawieni w stan oskarżenia za profanację narodowej wartości.

PRZYWOŁANO UCZESTNICTWO BRAUNA W AKCJACH POMARAŃCZOWEJ ALTERNATYWY Z LAT 80., ANTYKOMUNISTYCZNYM I ANARCHISTYCZNYM MŁODZIEŻOWYM RUCHU O HAPPENINGOWO-PRZEŚMIEWCZYM CHARAKTERZE.

Kapłani w akcji

Wiedeńscy radykałowie pod koniec lat 60. trafili we właściwy czas – czas młodzieżowych buntów. Przecież rok ’68 to młodzieżowa wiosna! Paryż w ogniu, we Francji ogólnonarodowy strajk (podsycany przez marksistów z Francuskiej Partii Komunistycznej); w efekcie Charles de Gaulle podaje się do dymisji. Do tego zza Wielkiej Wody dochodzą – rezultat wojny amerykańsko-wietnamskiej – hasła pacyfistyczne, feministyczne, antyrasistowskie. Swobodny seks (ułatwieniem – dostępna w aptekach antykoncepcyjna pigułka) też znajduje się w orbicie politycznych postulatów, artykułowanych w krajach po obydwu stronach oceanu. Sztuka nie pozostaje w tyle wobec ideowej awangardy. Nasilają się ruchy artystyczne z lewicowym backgroundem: niezgoda na kapitalistyczny wyzysk, kontestacja mieszczańskiego establishmentu, zanegowanie katolickiej tradycji. Na artscenie pojawiają się młodzi protagoniści sięgający po niekonwencjonalne środki wyrazu. Sztuka staje się społecznym działaniem – i z drugiej strony aktywność polityczna bywa identyfikowana z twórczością.

Lata 60. to także czasy zadzierzgnięcia komitywy między sztuką wizualną a mediami. Media właśnie wyniosły na szczyt nowych gwiazdorów, jak Francuz Yves Klein (ur. 1928), Amerykanin Andy Warhol (1928) czy Niemiec Joseph Beuys (1921). Wszyscy oni zrównali akt kreacji ze spektaklem, co rejestrowały kamery. Pierwszy „malował” nagimi kobietami unurzanymi w niebieskiej farbie; drugi stworzył „Fabrykę”, w której kwitło życie artystycznej komuny; trzeci zrobił ludziom wodę z mózgu teorią „rzeźby społecznej” i sloganem, że „każdy jest artystą”.

W Polsce ery Gomułkowskiej sztuka akcji pojawiała się śladowo i na marginesie głównego nurtu sztuk plastycznych. Co ciekawe, pionierem happeningu okazał się niemłody Tadeusz Kantor (rocznik 1915, więc wówczas pięćdziesięcioletni), który w 1965 roku zrealizował w warszawskim Towarzystwie Sztuk Pięknych wydarzenie „Cricotage”. Jednak to i kolejne zdarzenia przedsiębrane przez Kantora miały rodowód teatralny i nie odnosiły się do naszej sytuacji politycznej.

Parasol z opóźnionym zapłonem

Kiedy na Zachodzie wszelkie formy sztuki działania zaczynały się uklasyczniać, w PRL-u były to wydarzenia incydentalne, jak w przypadku Kantora poetycko-surrealistyczne. I nagle wybiło! Akceleratorem były wydarzenia Marca ’68, pomimo czasowej zbieżności o kompletnie innym podłożu niż młodzieżowa wiosna. Na skutek odsunięcia Wiesława Gomułki od władzy i powołania na stanowisko I sekretarza KC Edwarda Gierka w Polsce zmieniły się nastroje i powiało czymś w rodzaju nadziei. Jednocześnie kulturę tu i ówdzie „odszpuntowano”. Nagle sztuki wizualne otworzyły się na akcjonizm. I weszły w alianse z polityką. Paradoksalnie, symboliczny wymiar nabrał społeczno-romantyczny eksperyment Kantora „Multipart” wyniesiony do rangi pierwszomajowego antytransparentu – jednak bez wiedzy autora. Chodziło o jedno z 40 płócien z serii „Parapluie emballage” z przytwierdzonymi parasolami, oferowanymi do sprzedaży (po wystawie) w Galerii Foksal, z którym kupiec miał prawo postępować wedle uznania. Na jeden z obrazów zrzuciła się grupa studentów Wydziału Architektury PW. Zakupili i… ruszyli w pierwszomajowym pochodzie w 1970 roku, miast transparentu dzierżąc „Multipart” zdobny w kwiatki i wstążki. Puentą stał się drugi wernisaż „Multipartu”, na którym zaprezentowano te same prace po interwencji nabywców. Parasol młodych architektów posłużył jako ekran do projekcji filmowej rejestracji z majowej manifestacji. Podobno Kantor mało nie spadł z krzesła.

Co nas grzało

Lata 70., 80. i lata potransformacyjne to w Polsce erupcja działań performatywnych wszelkiego autoramentu i rozmaitej skali – od wielkich festiwalowych shows po

eprasa.pl ac5f701e87

intymne dokamerowe działania (pomijam tu youtuberów). Bodaj najciekawsze są czasy gierkowskiego poluzowania i mamienia „wolnością" sztuki, kiedy trendy konceptualno-nihilistyczne zderzały się z antykomunistycznym buntem. Zupełnie inne klimaty niosły działania kolejnej dekady, w której dominowały odruchy sprzeciwu wobec władzy i jednoczące gesty katolickiej wiary. Jeszcze inne przesłanie niosły performance'y lat 90. i późniejszych, gdy nade wszystko chodziło o przełamywanie cielesnego tabu – seksu, choroby, starości.

Z magmy egoistycznej chełpliwości i bezsensownego ekshibicjonizmu; wśród naporu pustych gestów zabiegania o uwagę, zapamiętałam tylko działania poważne, nawet jeśli „sprzedane" w sarkastycznej formie. I teraz – tadam! – co wyliczę, to wyliczę (może niesprawiedliwie), ale moim zdaniem najmocniejsze, zarazem najinteligentniejsze performance'y minionych dekad. Ich kontekst dopisywała rzeczywistość – co jeszcze bardziej umacniało pamięć o tych wydarzeniach. Albo trwało w pamięci przekazywanej przez uczestników.

Subiektywny ranking akcji z epoki reżimu (z polityczno-społecznym podtekstem)

„Wieczerza Wigilijna" – Jerzy Kalina, 24 grudnia, 1972

W Galerii Repassage (Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście), której parterowe okna wychodziły na Krakowskie Przedmieście, autor przygotował stół z wieloma nakryciami, zastawiony ziemniakami, cebulą, chlebem, winem, wodą. Pomiędzy tym jaśniały smugi kolorowego pigmentu, a wszystko oświetlały świece. Zaglądający przez okna obcy ludzie wchodzili do wnętrza galerii, by doświadczyć tego spotkania przy nieoczkiwanej „wigilii". Z niektórymi rozmowy trwały do późna w nocy. Wspaniałe przywołanie tradycji Wigilii.

„Pojazd" – Krzysztof Wodiczko, 1971 – 1973

Przechylna platforma na kołach, którą w ruch wprawiał przechadzający się po niej człowiek. Pojazd poruszał się ruchem jednostajnym prostolinijnym, tylko w jednym kierunku. Trzeba było się nachodzić, żeby platformę udrożnić; zużyć więcej energii na chodzenie po „pojeździe" niż posuwanie się do przodu choćby pieszo. Genialna metafora socjalistycznego systemu. Pojazd, testowany w przestrzeni miasta, wywołał zainteresowanie MO, które śledziły akcję, zwalniając jazdę „suki" do tempa pieszego.

„Kolejka donikąd" – Akademia Ruchu, 1977

O „ogonkach" do mięśniaków już zapomnieliśmy. Ale czasy PRL-u w naszej pamięci sprowadzały się do kolejek, czasami nawet społecznych, za wyjątkowymi atrakcjami jak sprzęt grający, meble, filmy (bywały zapisy do kolejek i ich organizatorzy). Akademia Ruchu zadrwiła sobie z czekania: zorganizowała „kolejki" bez sensu, w punktach vis à vis sklepów mięsnych. Albo ustawiali się w przeciwnym do wejścia kierunku. Ironia, ale też uświadomienie bezsensu takiego bytu.

„Katapulta" – Jerzy Kalina, 1978

Akcja obrzędowa na dziedzińcu UW po wyborze Karola Wojtyły na papieża. Autor skonstruował pięćdziesięciometrową procę, której końce były umocowane na frontonie Uniwersytetu. Naciąg lin powodował rozniecenie ognia w głowach kapusty. Sarkastyczno-smutne uświadomienie, że trzeba sił wyższych, żeby zapalić w naszych kapuścianych głowach jakąkolwiek jasność, czyli myśl.

BODAJ NAJCIEKAWSZE SĄ CZASY GIERKOWSKIEGO POLUZOWANIA I MAMIENIA „WOLNOŚCIĄ" SZTUKI, KIEDY TRENDY KONCEPTUALNO-NIHILISTYCZNE ZDERZAŁY SIĘ Z ANTYKOMUNISTYCZNYM BUNTEM.

„Znak Krzyża" – Teresa Murak, 1983

Performance zrealizowany w trakcie wystawy „Znak Krzyża" przy ul. Żytniej w Warszawie – wielki krzyż pokryty kiełkującą rzeżuchą, materią zielony i „żywy", wyniesiony na ołtarz. Jedna z niewielu pozytywnych i budzących nadzieję akcji. Odniesienie do wiary, tradycji i ekologii

„Papier toaletowy" – Pomarańczowa Alternatywa, 1987

„W dzisiejszych czasach Surrealizmu Socjalistycznego, który opanowuje cały świat, papier toaletowy to protokół dyplomatyczny, biały kruk polskiej higieny. […] O 16 wyjmujemy papier toaletowy i rozdajemy go po kawałku ludziom. Dzielimy się sprawiedliwie. Niech sprawiedliwość zacznie się od papieru" – pisał „Major" Frydrych. Kolejna zgrywa, ale też pytanie – czy dystrybucja „srolki" odbyła się demokratycznie? Może trzeba było powołać Trybunał Konstytucyjny?

eprasa.pl ac5f701e87

Czytam, chadzam, doradzam, odradzam

Wojciech Stanisławski

Fot. T. Kaczor/ www.muzeumwarszawy.pl

Widok wystawy „Lato, które zmieniło wszystko. Festiwal 1955”

Kolor na gruzach

Wystawa o festiwalu świetnie pasuje do profilu Muzeum Warszawy i została zrealizowana z rozmachem – choć i z typowym dla tej placówki sznytem ideologicznym.

Tak, tamten festiwal ma swoje miejsce w „wielkiej” historii politycznej, lecz i w pamięci rodzinnej w wielu warszawskich domach. Zaplanowany jako kolejne rytualne wydarzenie, trybik o ustalonych z góry rozmiarach w wielkiej machinie stalinowskiej propagandy, stał się, no cóż, może nie „bombą z opóźnionym zapłonem”, lecz trybikiem na tyle obluzowanym, że ostatecznie rozregulował całą maszynę i sprawił, że – niczym na amerykańskiej kreskówce – spektakularnie rozsypała się na stos części. Można by się zastanawiać, mówiąc językiem epoki – czy był to sabotaż? Czy po prostu organizatorom zabrakło wyobraźni? Ten brak wyobraźni kończył się zwykle w komunizmie tragicznie: zarwaniem mostu, ściskiem i paniką podczas imprez masowych, brutalnie pacyfikowanymi manifestacjami po ogłaszanych znienacka podwyżkach. W czerwcu 1955 roku eksplodowały, na szczęście, tylko kolory: szare, socrealistyczne, nadal częściowo w gruzach Śródmieście zostało pokryte płótnami i gobelinami, na których nie widnieli już przodujący górnicy i dojarki, tylko kolorowe fryzy i lekkie, „plakatowe” portrety.

Historycy do dziś mogą zastanawiać się, na ile V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów, trwający w Warszawie przez ponad dwa tygodnie, od 31 lipca po 14 sierpnia 1955 roku, miał siłę sprawczą, na ile był po prostu świadectwem dokonujących się „pod powierzchnią” przemian. Jeśli idzie o kulturę, opowiadałbym się za tą pierwszą interpretacją. To w związku z Festiwalem Młodzieży otwarto 21 lipca 1955 roku w Arsenale Ogólnopolską Wystawę Młodej Plastyki, na której znalazły się dziesiątki nowatorskich płócien i rzeźb, tysiące osób zobaczyły zrywające z socrealizmem prace Jana Lebensteina, Aliny Szapocznikow czy Marka Oberländera. To w „pofestiwalowej” atmosferze możliwe było opublikowanie w drugiej połowie sierpnia „Poematu dla dorosłych” Adama Ważyka, to podczas wieczornych koncertów po raz pierwszy można było posłuchać jazzu nie w półkonspiracyjnej atmosferze prywatnego mieszkania czy dusznego klubu, lecz po prostu – na ulicach. W każdej, nawet najbardziej zwięzłej opowieści o „odwilży” i Październiku ’56 Festiwal ma swoje miejsce – i jego 70. rocznica to idealna okazja, by go przypomnieć.

Można sobie wyobrazić, czego na takiej wystawie nie może zabraknąć: śladów i świadectw „dekady terroru”, masek i portretów – mówiąc herbertową metaforą – Cesarza, nadal wiszących w wielu miejscach publicznych, choć od jego śmierci minęły przecież przeszło dwa lata. Możliwie topornej sztuki socrealistycznej (nietrudno), ale też wskazania, jak ważną rolę w systemie deklarowanych przez władze wartości odgrywały pojmowana hasłowo i emblematycznie „młodzież” i „młodość”. Bo to przecież dzięki temu zjawisku możliwe było przejęcie przez ZSRS kontroli nad oficjalnym pomysłodawcą imprezy, Światową Federacją Młodzieży Demokratycznej i organizowanie kolejnych zjazdów (pierwszy odbył się w Pradze w roku 1947). Oczywiście, znaleźć się na niej muszą również „dowody” na dokonany przełom w sztuce i w postawach – dzieła sztuki, prezentowane w Arsenale, relacje i zapisy pamiętnikarskie. Również – możliwie wiele eksponatów dokumentujących sam Festiwal i towarzyszący mu gigantyczny rozmach organizacyjny.

Ze wszystkich tych zadań Muzeum Warszawy wywiązało się rzetelnie – choć też bardzo w swoim stylu i zgodnie z wartościami, które bliskie są temu środowisku wystawienniczemu.

Sama „lekcja wystawiennicza” odrobiona została solidnie: zgromadzono nowe relacje i nagrania „z epoki” (niezapomniany piskliwy głos Wandy Odolskiej!), sięgnięto po dzieła sztuki

eprasa.pl ac5f701e87

nie tylko z szeroko znanych placówek, lecz również m.in. z Muzeum Lubuskiego w Gorzowie Wielkopolskim, od lat zajmującego się dokumentowaniem dorobku artystów z kręgu „wystawy w Arsenale" (świetne prace Jana Dziędziory). Smaczne są obiekty ukazujące kicz socrealizmu (szczególnie zapada w pamięć monstrualna popielniczka, zaprojektowana w kształcie wzniesionego w 1953 roku Stadionu Dziesięciolecia; piętrzący się w niej popiół, nawet jeśli pochodził z papierosów tak wykwintnych jak kazbeki, musiał powodować pewien wstrząs estetyczny…), doskonale pokazują klimat mobilizacji społecznej w lecie 1955 roku „Pamiętniki festiwalowe": prześne, masowo sprzedawane notatniki w twardej oprawie, służące setkom osób do kolekcjonowania autografów gości. A było ich przecież, bagatela, pond 30 tysięcy – toteż nie zabrakło i wszelkiego rodzaju parafernaliów: oznak i przepustek, zaproszeń i pocztówek, schematów organizacyjnych opieki medycznych i ohydnych drewnianych talerzy pamiątkowych.

Razem z kilkudziesięcioma fotogramami, zapisami kroniki filmowej, fragmentami audycji, karykaturami i wycinkami z prasy oddaje to szok, jakim był Festiwal: możliwość spotkania z demonizowanymi dotąd przez propagandę, a dziś – wychwalanymi przybyszami „z Zachodu", spontaniczności działań, które wymykały się spod kontroli. Miło obserwować to nie tylko jako zapis ważnego czasu, jako „wyłom na rzecz wolności", ale jako triumf rzeczywistości nad obłudą: system, który dotąd wychwalał „młodość", jednocześnie biorąc ją w karby, zakłamał sam siebie, został pokonany własną bronią: dotowana przez państwo impreza, która miała być „spontaniczna" jedynie w cudzysłowie, wyzbyła się go, żywioł pokonał organizację. Jest to zjawisko nieco podobne do, późniejszej o 20 lat, praktyki powoływania się na ustawodawstwo PRL w celu tworzenia bezdebitowej prasy, Komitetu Obrony Robotników czy niezależnych związków zawodowych – i pozwala docenić „wywrotowy" potencjał Festiwalu.

Jako się rzekło, opowieść zaprojektowana przez kuratorów Muzeum Warszawy nie jest do końca neutralna. Podobnie jak na wystawie stałej i podczas wielu wcześniejszych inicjatyw duży nacisk kładziony jest w murach kamienic muzealnych na wymiar społeczny i gospodarczy wydarzeń: przejrzyste, świetnie zaprojektowane infografiki pokazują ówczesną sytuację demograficzną PRL i nędzę materialną jego obywateli. Ciekawym pomysłem jest zaproszenie do współpracy współczesnych twórców, odwołujących się do estetyki i nastroju Festiwalu. Nazwano to, co prawda, udziwnionym, „kuratorskim" językiem „praktyką artystyczną", ale mniejsza o nazwę, pastelowe tkaniny Pauliny Włostowskiej rzeczywiście świetnie rymują się z wyobrażeniami tamtego lata. Multimedialna praca artystki z Ukrainy, Julii Krywicz (preferowany przez organizatorów, zanglicyzowany zapis jej nazwiska nie chce mi przejść przez klawiaturę), interpretuje, co prawda, współczesny nam najazd Rosji na Ukrainę w kategorii „kolonializmu", co wydaje się sięganiem po ideologiczną sztancę, ale ukazuje też możliwość technik AI. Znacznie bardziej dyskusyjnym zabiegiem jest ozdobienie sal wystawienniczych wielkoformatowymi reprodukcjami rysunków i scenek wydanej przed dwoma laty „powieści graficznej" Jacka Świdzińskiego, zatytułowanej „Festiwal". Świdziński ma rozpoznawalną kreskę, jego opowieść wydała mi się dość monotonnie sarkastyczna, była jednak pewnym pomysłem na relację o groteskowej epoce. Na wystawie ten sarkazm, zderzony z dokumentami epoki, raził mnie, sprawiał wrażenie na poły mentorskiego komentarza, na poły nieśmiesznego żartu, z pewnością też jest źródłem kakofonii poznawczej: reprodukcje nie są podpisane, nie wiadomo, czy pochodzą z epoki, czy są elementem narracji wystawowej.

Mocne, jednostronne przekonania twórców wystawy dochodzą w pełni do głosu w kilku kwestiach. Relacjonując „boom demograficzny" pierwszych dekad Polski Ludowej, przywołując rzeźbę Edwarda Koniuszy „Zła matka", wspominają z aprobatą o ówczesnej pełnej legalności aborcji, z wyraźną niechęcią pisząc o „powrocie do przedwojennej praktyki w Trzeciej Rzeczypospolitej". Myśli o parytecie i patriarchacie towarzyszyły im najwyraźniej, gdy ze zgrozą notują na jednej z plansz, że „Zawiązany jesienią 1954 roku Polski Komitet Festiwalowy kierowany był przez jedenastu mężczyzn". Wyliczanie genderowych proporcji obsady organów administracyjnych nie było dotąd zbyt popularne w historiografii, ale zapewne się upowszechni, podobnie jak piętnowanie Polaków, jeśli nie za sam kolonializm, to za „uleganie stereotypom i optyce kolonialnej". Ten wątek jest modny – traktowała o nim książka „Bzik kolonialny" Grzegorza Łysia i głośna wystawa „Wybielanie" w Muzeum Etnograficznym. Również na Rynku Starego Miasta dowiemy się, że „Europa Środkowo-Wschodnia nie uczestniczyła w kolonizacji Afryki i Azji, i to miało jej dawać moralny immunitet". Jak widać z trybu warunkowego, to tylko pozory, a podczas Festiwali „wiele było otwartości, lecz równie wiele gapiostwa […] «Egzotyczność» przybyszów wysuwała się na pierwszy plan i […] niekoniecznie było to dla nich doznaniem pozytywnym". Są te wypowiedzi trochę nużące, lecz i pouczające – ukazując, że zideologizowany język nie był swoisty tylko dla roku 1955.

„Lato, które zmieniło wszystko. Festiwal 1955", 19 czerwca – 21 grudnia 2025 roku. Kuratorzy: Błażej Brzostek, Zofia Rojek. Muzeum Warszawy, Rynek Starego Miasta 42 (wystawa dostępna: wt., śr., pt., sob.: 11–19, czw.: 11–20, niedz.: 11–18).

eprasa.pl ac5f701e87

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

„Zmierzamy ku katastrofie”. NOWY ETAP DEKARBONIZACJI

Ursula von der Leyen

Fot. Wikimedia Commons

Komisja Europejska zaproponowała 2 lipca nowy cel klimatyczny. Unia chce, żeby emisja gazów cieplarnianych została zmniejszona o 90 proc. do 2040 roku w stosunku do poziomów z 1990 roku. Taką propozycję KE wysunęła już w lutym 2024 roku.

Żeby zrealizować ten cel, Komisja zaproponowała tzw. kredyty węglowe, nazywane też offsetami węglowymi. To certyfikaty, które potwierdzają redukcję lub usunięcie z atmosfery określonej ilości gazów cieplarnianych.

– Uzgodnienie celu klimatycznego na poziomie 90 proc. zapewnia nam jasną „latarnię morską”, która ukierunkuje nasze przyszłe działania. Reagujemy na Europejczyków, którzy zdecydowanie opowiadają się za działaniami w dziedzinie klimatu. [...] Nie wybieramy między gospodarką a zielonym programem, wybieramy oba. Europa potwierdza swoje zaangażowanie na rzecz sprawiedliwej, ambitnej i konkurencyjnej transformacji ekologicznej – powiedziała Teresa Ribera, wiceprzewodnicząca wykonawcza Komisji Europejskiej ds. czystej, sprawiedliwej i konkurencyjnej transformacji.

Krytycznie do tych rozwiązań odnosi się natomiast NSZZ „Solidarność”.

– Zmierzamy ku katastrofie. Potrzebujemy wstrzymania, jeśli nie odwrotu od unijnej polityki klimatycznej, żeby uniknąć finansowej katastrofy naszych społeczeństw. Pamiętajmy o tym, że jesteśmy w trakcie wdrażania dyrektywy budynkowej. Trwają szarpane negocjacje nad systemem ETS2, który ma objąć dodatkowo transport i obciążyć wszelkie kopalne źródła energii od 2027 roku. To dotknie szczególnie Polskę, która w 60 proc. pozyskuje energię z węgla. Mówi się o jakichś dopłatach, rekompensatach, funduszach społecznych czy osłonowych... Pieniędzy na to nie ma, mają cząstkowo pochodzić z ETS2 – a w sumie to przecież nic innego, jak nowa forma socjalizmu, którego skutki w Polsce znamy. To dalsze rzucanie kłód pod nogi działalności gospodarczej i przemysłowi. Efektem będą wyższe koszty energii i niższe realne wynagrodzenia. Nie możemy być pozytywnie nastawieni do tych rozwiązań – skomentował Robert Szewczyk, pełnomocnik Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” ds. polityki klimatycznej.

DROGI DO WOLNOŚCI

W ubiegłym tygodniu obchodziliśmy kolejne rocznice wystąpień robotniczych w Płocku, Radomiu, Ursusie, Poznaniu i Tomaszowie Lubelskim, gdzie znajdowała się filia Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego „Świdnik”.

eprasa.pl ac5f701e87

Fot. arch. R. Szewczyka

„Planeta naprawdę się nie ugotuje, jeśli przeprowadzimy tę transformację w normalnym tempie, które nie zniszczy zupełnie naszego przemysłu ”.

Robert Szewczyk, pełnomocnik Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” ds. polityki klimatycznej, Tysol.pl, 2 lipca br.

49. rocznicę Czerwca ’76 zaczęto w Płocku od Mszy Świętej w kościele pw. św. Stanisława Kostki. Po nabożeństwie związkowcy udali się pod pomnik bł. ks. Jerzego Popiełuszki i Protestów Robotniczych, gdzie złożyli kwiaty i oddali hołd wszystkim, którzy mieli odwagę wyrazić swój sprzeciw wobec drakońskich podwyżek cen, jakie wprowadził rząd Piotra Jarosiewicza. Przykładowo mięso miało zdrożeć o 69 proc., a cukier aż o 90 proc. Płock dołączył tym samym do demonstrujących swoje niezadowolenie robotników z Radomia i Ursusa.

O swoich bohaterach pamiętają także Poznaniacy. 69 lat temu w tym mieście odbył się pierwszy strajk generalny w PRL, który rozpoczęli pracownicy Zakładów im. Stalina, dziś im. H. Cegielskiego. Na ulice wyszło około 100 tysięcy ludzi wznoszących głównie hasła natury ekonomicznej jak: „Chcemy chleba”.

Władza postanowiła spacyfikować protest, używając wojska i czołgów. Rannych zostało ok. 500–600 osób, a śmierć poniosło 58 Polaków. Najmłodsza ofiara, Romek Strzałkowski, miał zaledwie 13 lat. W uroczystościach Poznańskiego Czerwca wzięli udział członkowie Regionu Wielkopolskiego NSZZ „Solidarność” na czele z przewodniczącym Jarosławem Lange, a także młodzież z Węgier, która przyjechała do Polski na Zawody Poznańskie, które odbyły się 22 czerwca w celu uczczenia pamięci ofiar i uczestników wydarzeń Poznańskiego Czerwca ’56.

PKP CARGO ODSTĄPI OD ZWOLNIEŃ, JEŚLI...

Na początku czerwca PKP Cargo w restrukturyzacji podało, że zamierza przeprowadzić kolejne zwolnienia grupowe w dwóch etapach. Do końca lipca 2025 roku prace miałoby stracić do 1041 pracowników, a do 30 września kolejne 1388 osób. To łącznie ponad 2400 zatrudnionych w spółce. Obecnie w firmie trwają konsultacje ze związkami zawodowymi w tej sprawie.

Władze PKP Cargo w restrukturyzacji wypowiedziały Zakładowe Układy Zbiorowe Pracy w 2024 roku, ale okres wypowiedzenia sprawia, że dokument będzie obowiązywał do połowy przyszłego roku.

Zarząd spółki zaproponował związkom zawodowym, aby zgodziły się już teraz zrezygnować z ZUZP i zmienić zawarte w nim rozwiązania na „efektywny system motywacyjny”.

– PKP Cargo znajduje się w bardzo trudnej sytuacji. Niestety spadek rynku oraz brak działań naprawczych na przestrzeni ostatniej dekady wymusił uruchomienie restrukturyzacji w 2024 roku. Chcielibyśmy zachować pracę jak największej liczby pracowników, ale musimy też pamiętać, że spółka ma do spłacenia prawie 3 mld zł. Musimy zaproponować wszystkim naszym wierzycielom akceptowalny harmonogram spłat. Wiemy, że będą to bardzo trudne rozmowy, ale wierzymy, że wykażą się oni zrozumieniem – stwierdziła prezes spółki Agnieszka Wasilewska-Semail.

M.K.

Kalendarium
Solidarności

15.07.1981 – Lech Wałęsa zostaje wybrany na przewodniczącego Zarządu Regionu Gdańskiego „S”;

11.07.1982 – w przerwie meczu piłki nożnej pomiędzy reprezentacją Polski a ZSRR swoją audycję na falach dźwiękowych TVP nadało Radio „Solidarność” Wielkopolska;

13.07–3.09.1988 – trwa letnia fala strajków robotniczych, na których żądano przywrócenia NSZZ „Solidarność”. Bierze w niej udział m.in. Huta Stalowa Wola (13.07), kopalnie: m.in. „Manifest Lipcowy” w Jastrzębiu (15.08), „Moszczenica”, „Jastrzębie”, „XXX-lecia PRL”, „Borynia”, „ZMP”, „Krupiński”, „Andaluzja”, „1 Maja”, „Morcinek”, „Brzeszcze”, „Jaworzno”, stocznia w Szczecinie (17.08), Port Północny w Gdańsku (20.08), Stocznia Gdańska i Stocznia Północna (22.08). 1 września kończą się strajki w stoczniach, 3 września – w kopalniach;

11.07.1989 – zostaje zamordowany opozycyjny kapłan ks. Sylwester Zych;

12.07.2010 – umiera ks. prałat Henryk Jankowski, kapelan „Solidarności”, proboszcz parafii św. Brygidy w Gdańsku.

eprasa.pl ac5f701e87

Europa zaradzi kryzysowi mieszkaniowemu?

„Ceny mieszkań to skandal i jest mi przykro, że się do nich przyzwyczailiśmy"; „Mam 20 lat, ja i mój partner, każde z nas zarabia gdzieś pomiędzy minimalną a średnią krajową. Oboje pracujemy od 18. roku życia, a **ponad połowa jednej pensji** idzie na wynajem".

Mateusz Szymański

Fot. autor

Te wypowiedzi pochodzą z jednego z wątków na portalu Reddit.com, który poświęcony był sytuacji na rynku mieszkaniowym. Obserwacja sytuacji wokół nas pokazuje jasno – coś złego stało się z mieszkalnictwem w Polsce.

Problem nie tylko polski

O kryzysie mieszkaniowym mówi się na poziomie UE od kilku lat. Protesty pod hasłami „Mieszkanie prawem, nie towarem" w Hiszpanii skłaniają do debaty o tym, dlaczego koszty dachu nad głową stały się tak wysokie i jakie to rodzi konsekwencje.

Lista problemów jest długa. Masowe zakupy inwestycyjne, w przypadku których mieszkanie jest niczym więcej niż lokatą kapitału. Mieszkania wykorzystywane do krótkiego najmu okazjonalnego, czego symbolem stała się platforma Airbnb.

Presję na rynek mieszkaniowy wywierają również studenci, którzy nie mając dostępu do akademików, szukają lokum na otwartym rynku. Wysokie stopy procentowe, skomplikowane relacje najemca – lokator, brak właściwego planowania przestrzeni miejskiej. Można by jeszcze długo wymieniać.

Odpowiedź

Dowodem na to, że mieszkalnictwo trafiło na wysokie miejsce europejskiej agendy, jest to, że w składzie Komisji Europejskiej znalazł się komisarz, który ma odpowiadać właśnie za mieszkalnictwo. Jest nim Duńczyk Dan Jørgensen.

Jego rola będzie zdecydowanie ograniczona, ponieważ mieszkalnictwo jest w rękach państw. Zapewne zdecydowana większość wysiłków KE skoncentruje się na realizacji projektów ze środków unijnych dotyczących zwiększania podaży mieszkań na rynku.

Wśród priorytetów wymienia się m.in. „falę renowacji", która ma stanowić bodziec inwestycyjny i zwiększać pulę dostępnych mieszkań na rynku. W centrum mają stać również inicjatywy społeczne. Wszystko w duchu polityki Nowego Europejskiego Bauhausu, a więc pod hasłami zrównoważonego rozwoju, użyteczności, dostępności i przystępności cenowej.

Debata w Polsce

Mieszkalnictwo było wiodącym tematem debaty podczas dorocznego spotkania liderów rad społecznych i ekonomicznych z całej Europy, które odbyło się w Warszawie. Było to jedno z ostatnich spotkań w ramach polskiej prezydencji w Radzie UE. Gospodarzami tego spotkania były Rada Dialogu Społecznego, Rada Działalności Pożytku Publicznego i Europejski Komitet Ekonomiczno-Społeczny.

Zgadzano się co do tego, że wysokie koszty mieszkania są kwestią budzącą duże zaniepokojenie w UE. Trudności ze znalezieniem taniego lokum prowadzą do poczucia braku bezpieczeństwa, obciążeń finansowych i uwłaczających warunków mieszkaniowych, a nawet bezdomności. Utrudniają również młodym ludziom opuszczanie domów rodzinnych.

Wątkiem, który mocno wybrzmiał, była rola podmiotów ekonomii społecznej w działaniach na rzecz poprawy dostępności mieszkań.

eprasa.pl ac5f701e87

Raport „Niedrogie, zrównoważone mieszkania w UE", prezentowany podczas spotkania stwierdza, że „zaangażowanie podmiotów gospodarki społecznej ma kluczowe znaczenie dla poszerzenia oferty mieszkań po przystępnych cenach i wzmocnienia spójności społecznej".

OBSERWACJA SYTUACJI WOKÓŁ NAS POKAZUJE JASNO – COŚ ZŁEGO STAŁO SIĘ Z MIESZKALNICTWEM W POLSCE.

Dokument, który podsumował spotkanie wskazuje na to, że „brak ofert mieszkaniowych, w szczególności mieszkań socjalnych i do wynajmu, to powszechne wyzwania w wielu krajach UE". Stwierdza również, że „należy mówić o nieprawidłowości w funkcjonowaniu rynku". Rekomenduje się promowanie mieszkalnictwa socjalnego, zwalczanie problemu bezdomności, harmonizację i uproszczenie przepisów w sektorze budowlanym i zapewnienie długoterminowego finansowania inwestycji.

Konferencja, obok spraw mieszkalnictwa poruszyła zagadnienia związane z jakością pracy. Świetnie oba wątki powiązał prowadzący wydarzenie Rafał Woś, mówiąc że „wysokiej jakości miejsca pracy mogą istnieć bez poprawy sytuacji na rynku mieszkaniowym, ale nie da się rozwiązać problemów mieszkalnictwa bez poprawy na rynku pracy".

Omówiono liczne wątki. Szkolenia w miejscu pracy, rozpowszechnianie się modeli AI i ich wpływu na warunki pracy, zwłaszcza jeśli chodzi o BHP oraz na szanse zawodowe. Nie umknęły sprawy związane z dialogiem społecznym. Uczestnicy byli zgodni co do tego, że właśnie poprzez zrzeszanie się, dialog i rokowania zbiorowe można będzie realnie kształtować kierunki zmian.

Ekspert NSZZ „Solidarność" Marcin Zieleniecki, który w EKES opracował opinię dotyczącą samozatrudnienia pokazywał, jakie skutki ma taka niestabilna forma zatrudnienia na sytuację pracowników. Korespondowało to z prezentowaną analizą Eurofound dotyczącą warunków pracy i życia w UE. Wynikało z niej, że problemy, z którymi przez lata borykali się pracownicy w UE, takie jak niestabilność, nierówności czy niesatysfakcjonujący wymiar czasu pracy, nadal są aktualne.

WYSOKIE KOSZTY MIESZKANIA SĄ KWESTIĄ BUDZĄCĄ DUŻE ZANIEPOKOJENIE W UE. TRUDNOŚCI ZE ZNALEZIENIEM TANIEGO LOKUM PROWADZĄ DO POCZUCIA BRAKU BEZPIECZEŃSTWA, OBCIĄŻEŃ FINANSOWYCH I UWŁACZAJĄCYCH WARUNKÓW MIESZKANIOWYCH, A NAWET BEZDOMNOŚCI.

Nie zapomniano o problematyce bezpieczeństwa. Prof. Paweł Szmitkowski w swoim wystąpieniu podkreślał, jak istotne znaczenie mają inwestycje służące budowaniu skutecznej obrony cywilnej. W tej części głos zabrał zastępca przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność" Bartłomiej Mickiewicz, który podkreślił, że w kontekście bezpieczeństwa kluczowy jest potencjał związków zawodowych. „To my jesteśmy blisko ludzi i pracowników. Jako Polska jesteśmy zaangażowani w to, co dzieje się za wschodnią granicą".

Temat na lata

Dostęp do rynku mieszkaniowego jeszcze przez lata będzie palącym problemem. Nie jest łatwo w krótkim czasie dokonać głębokiej korekty rynku, która nie wysadzi go w powietrze. Ważne jest by politykom nie zabrakło woli działania. Wiemy że z tym bywa różnie. Czy tym razem będzie inaczej, i unijni biurokraci faktycznie posłuchają głosu społeczeństwa? Przekonamy się w kolejnych latach. Unijne młyny mielą niezwykle wolno.

***

Poglądy wyrażone w niniejszym opracowaniu stanowią wyłącznie prywatny pogląd autora i nie mogą być utożsamiane ze stanowiskiem NSZZ „Solidarność".

eprasa.pl ac5f701e87

SPORT

ŚWIĘTO kolarstwa

Barbara Michałowska, fot. **Marcin Żegliński**

eprasa.pl ac5f701e87

Już po raz 36. odbył się w ubiegłym tygodniu sztandarowy wyścig organizowany przez łódzką Solidarność – 36. Międzynarodowy Wyścig Kolarski „Solidarności” i Olimpijczyków.

eprasa.pl ac5f701e87

To przedsięwzięcie o randze międzynarodowej, rozgrywane od ponad ćwierćwiecza, które na dzień dzisiejszy jest jedną z ważniejszych imprez kolarskich w kraju. Wyścig wyznacza najwyższe standardy zarówno organizacyjne, jak i sportowe, doskonale

eprasa.pl ac5f701e87

wpisuje się w kalendarz imprez kolarskich w kraju.

W tym roku na starcie stanęło 25 zawodowych ekip w sześcioosobowych składach.

Do zamknięcia numeru kolarze przejechali trzy etapy: Strzyżów – Sędziszów Małopolski, Ropczyce – Stalowa Wola oraz Jedlicze – Dębica. Pozostałe etapy: Jasło – Mielec i Kielce – Łódź ruszyły już po zamknięciu numeru.

Zapraszamy do obejrzenia fotorelacji z Wyścigu autorstwa Marcina Żeglińskiego, fotografa „Tygodnika Solidarność”.

MASZYNA DO RYSOWANIA KARNKOWSKI

eprasa.pl ac5f701e87

Bo to są ludzie z kamienia

Jeśli kondycję państwa można mierzyć doskonałą formą jego sportowców, południowi Słowianie całkowicie **przeczą tej teorii**. Gdzie zatem tkwi tajemnica ich sukcesów? Jaka jest motywacja koszykarzy, piłkarzy czy zawodników piłki wodnej z kamiennych krajów Europy?

Barbara Andrijanić

– Robimy to dla Chorwacji – przekonuje Zlatko Dalić, wieloletni trener drużyny piłkarskiej. – Jedni walczyli na wojnie, a my na boisku dla tych, którzy zginęli, i dla ich dzieci, dodaje Slaven Bilić, dziś trener, a kiedyś zdobywca trzeciego miejsca w mistrzostwach świata w piłce nożnej we Francji.

Coś w tym jest. Chorwaci, naród z przeszłością, ale państwowo młody, są niezwykle mocno związani ze swoją ojczyzną i nie boją się tego manifestować. Eksponowanie flagi narodowej przy okazji ślubów, nawet podczas ceremonii w kościołach czy

Fot. autorka

eprasa.pl ac5f701e87

świąt rodzinnych i narodowych, to norma. Oni wiedzą, o co walczyli jeszcze niedawno, i mają świadomość znaczenia symbolu wolności, który dziś z dumą noszą na piersiach. – Ta drużyna – mówi Luka Modrić o kolegach piłkarzach z kadry narodowej – składa się z graczy, którzy desperacko chcą założyć koszulkę reprezentacji i pokazać światu, jak bardzo jest ważna. Wszyscy jesteśmy zmotywowani do gry dla naszego kraju. Walczyliśmy dużo, aby wywalczyć niepodległość jako naród – i będziemy to robić, dokąd starczy nam sił.

Z łąki na stadion

Nie powinno dziwić to podejście, kiedy poznamy drogę do sukcesu niektórych zawodników, którzy rozpoczynali swoją przygodę z piłką jako uciekinierzy z zajętych przez wojska serbskie terenów. Jedni walczyli z karabinem w ręku, inni na boisku. Taka motywacja dużo wyjaśnia, czyż nie?

O bohaterach wojny o niepodległość z lat dziewięćdziesiątych śpiewa się dziś piosenki. Nic dziwnego, że przy okazji każdego sukcesu sportowego adresatami stają się chorwaccy zawodnicy, którzy zawsze na powitaniu po zdobyciu trofeum słyszą ze sceny piosenkę „Geni kameni", czyli „Kamienne geny" (dlaczego kamienne, o tym za chwilę) Thompsona, dziś piosenkarza i poety, ale jeszcze niedawno żołnierza, który doskonale zna cenę wolności. Scena „płonie", a tysiące gardeł wykrzykuje:

„Broń się, nie daj swego
Nie bierz cudzego, bo jest przeklęte
Kto tak przeżyje życie
Z dumą stanie przed Bogiem".

Navijači to kibice

Nie byłoby silnych drużyn, gdyby nie wsparcie, jakie dają im ich kibice. Wjeżdżając do Zagrzebia, szczególnie latem, przywita nas tłok na ulicach wciąż podnoszącego się po ostatnich trzęsieniach ziemi centrum miasta, lejący się z nieba żar oraz graffiti – w zasadzie traktujące o jednej tematyce, wykonane w monochromatycznych kolorach i wyrażające uwielbienie dla lokalnej drużyny piłkarskiej Dinamo Zagreb. Biało-czerwona szachownica, litera „d" na niebieskim tle, groźnie szczerzący się z budek instalacji elektrycznej, ścian mostów, a nawet przedszkoli buldog, są odzwierciedleniem tych samych kamiennych genów, ducha waleczności i nigdy nie gasnącej miłości dla klubu, którego zawodnicy zasilili jedną z najlepszych europejskich, a nawet światowych drużyn piłkarskich. Zgrzeszyłabym, gdybym nie wspomniała tutaj o splickim Hajduku i równie oddanych mu kibicach.

Pojadą za nimi wszędzie. Będą kibicować i z taką samą determinacją i walecznością jak ich zawodnicy będą ich wspierać od Zagrzebia do Splitu i na całym świecie. Czy tajemnica sukcesów ich drużyn tkwi w doskonałej infrastrukturze? Nie, bo większość trenuje na słabych boiskach, w kraju, gdzie sport jest głęboko niedoinwestowany, a korupcja obecna jak wszędzie. Chorwacja to kraj południa Europy. Tu się dobrze odpoczywa, a nie poświęca całe dni na treningi. Czy to kolejny dar Stwórcy, który według legendy, stwarzając świat, zostawił ziemię nad Adriatykiem dla siebie, a jej mieszkańców obdarował hojniej niż pozostałych?

Szybka piłka

Sport jest niezwykle ważną częścią chorwackiej tożsamości. Niektórzy twierdzą, że Chorwaci byliby bardziej dumni ze złota w waterpolo niż Nagrody Nobla z fizyki. Lubią, kiedy się ich chwali i rozpoznaje. Jeśli zapytać zwykłego przechodnia, z czym kojarzy mu się Chorwacja, na pewno padną dwie odpowiedzi: z pięknem przyrody i doskonałymi sportowcami, pełnymi pasji oraz świadomości narodowej. Potwierdzają to sami zawodnicy. – Kiedy założysz chorwacki dres, następuje jakaś przemiana i dajesz z siebie więcej, niż możesz – mówi Niko Kovač, były

CHORWACI, NARÓD Z PRZESZŁOŚCIĄ, ALE PAŃSTWOWO MŁODY, SĄ NIEZWYKLE MOCNO ZWIĄZANI ZE SWOJĄ OJCZYZNĄ I NIE BOJĄ SIĘ TEGO MANIFESTOWAĆ. EKSPONOWANIE FLAGI NARODOWEJ PRZY OKAZJI ŚLUBÓW, NAWET PODCZAS CEREMONII W KOŚCIOŁACH CZY ŚWIĄT RODZINNYCH I NARODOWYCH, TO NORMA.

eprasa.pl ac5f701e87

reprezentant Chorwacji w piłce nożnej oraz trener, który ma świadomość wyjątkowości swoich zawodników nad innymi narodowościami. Motywuje ich jeszcze coś. – Kiedy widzisz, jak szczęśliwi, zjednoczeni i dumni są ludzie w naszej ojczyźnie, to daje nam niesamowitą siłę – dodaje Ivan Rakitić.

BASEN DYNARSKI TO REGION, GDZIE UDAWAŁO SIĘ PRZETRWAĆ TYLKO NAJSILNIEJSZYM JEDNOSTKOM. ZNANI ZE SWOJEJ SPRAWNOŚCI CHORWACI NIEJEDNOKROTNIE ZASILALI WOJSKA SĄSIADUJĄCYCH KRAJÓW, SŁUŻĄC W NICH JAKO PŁATNI ŻOŁNIERZE.

Piłka, kawa i słońce

Sukcesy Vatrenih, jak nazywają chorwacką reprezentację piłkarską kibice, nie załatwią problemów kraju, który wciąż boryka się z nieuporządkowanymi kwestiami po rozpadzie Jugosławii (nie ruszył proces dekomunizacji), a po wprowadzeniu euro mieszkańcy ledwie wiążą koniec z końcem. Szczęście daje im słońce, kawiarnie, morze i Vatreni. Latem może jeszcze turyści, którzy skutecznie podnoszą PKB kraju.

– Mimo tego w Chorwacji i Ameryce Południowej wciąż można spotkać na ulicy dzieci grające w piłkę. W Niemczech już tego nie ma – mówi Niko Kovač. Dopóki dzieci będą głodne sportu, współzawodnictwa, a nie oryginalnych dresów z Šukerem czy Modriciem na koszulce, wystarczy łąka i wielkie marzenie oraz trochę szczęścia, bo przecież nie każdy znajdzie się w kadrze narodowej, ale kibicem się jest do końca życia.

A jednak geny

Inną z teorii, z jaką się spotkałam i o której śpiewa Thompson, jest ta o niespotykanej w innych częściach świata genetyce mieszkańców basenu dynarskiego, w którego zasięgu znalazły się trzy regiony: dalmatyńskie Zagorje, Hercegowina i części środkowej Bośni.

Tu przychodzą na świat zwycięzcy. Ale dlaczego? Według analityka Juraja Filipovicia istnieją trzy czynniki. Pierwszy to predyspozycje genetyczne, drugi tradycyjne wartości i trzeci – nawyki żywieniowe oraz warunki klimatyczne i geograficzne. Mówiąc prościej, osoba z haplogrupy i2a1 jest nosicielem tzw. cech dynarskich (wysoki wzrost, siła fizyczna, wytrzymałość). Kiedy taka osoba wychowuje się w biedzie, bez optymalnych warunków życia czy możliwości profesjonalnego trenowania, elementy te będą skutkować jednym: sukcesem.

Z pewnością ma na to wpływ także tradycyjne wychowanie chrześcijańskie, bardzo silne na tych terenach, oparte na wartościach, wyrzeczeniach, poświęceniu, uporze, wytrwałości, zaradności i zdrowym stylu życia, w zgodzie z naturą i szacunku do domu jako fundamentu trwałości rodziny. Okazuje się, że czasami nawet wzrost nie przeszkadza w osiągnięciu sukcesu, czego doskonałym przykładem jest Luka Modrić, prawie 40-letni chorwacki zawodnik, który po zakończeniu kariery właśnie podpisał kontrakt z Milanem. Warto poznać jego historię, która rozpoczęła się na łąkach Dalmacji, z dala od wielkiego miasta, rozwijała się na przyhotelowym boisku dla uchodźców wojennych, a zakończyła światową karierą.

Bieda to bogactwo

Basen dynarski to region, gdzie udawało się przetrwać tylko najsilniejszym jednostkom. Znani ze swojej sprawności Chorwaci niejednokrotnie zasilali wojska sąsiadujących krajów, służąc w nich jako płatni żołnierze. Recepta wydaje się być prosta. Wystarczy zdrowa dieta śródziemnomorska, korzystny klimat, który tworzą słońce, kamień i morze. Może zabrzmi to dziwnie, ale dużo wskazuje na to, że oprócz genetyki w sukcesie sportowym zawodników z krajów południowosłowiańskich pomogła zdewastowana infrastruktura sportowa, bieda i wielkie serce. Brazylia i Argentyna, choć o wiele większe, mają podobne doświadczenie. Nie mielibyśmy Maradony i Pelégo bez faweli, w których rozpoczynali swoje przygody z piłką.

Doskonałe dziś drużyny europejskie (Szwajcaria, Szwecja) są w większości zasilane przez zawodników pochodzących właśnie z biednych regionów świata, w tym krajów południowych Słowian. Zdaje się, że setki nowych hal i inwestowanie w infrastrukturę nie ma większego wpływu

eprasa.pl ac5f701e87

na „produkcję” nowych talentów. Z pewnością poprawi ona zdrowie zbyt otyłych nawet w Chorwacji dzieci, ale talenty rodzą się w sercu. Początkiem jest pragnienie i determinacja, które pomagają pokonywać przeszkody i dojrzewać.

Nie chodzi o dyskryminację pozostałych regionów i narodów, ale fakty mówią same za siebie. Brązowy medal MŚ we Francji z 1998 roku zdobyli dla Chorwacji zawodnicy z Dalmacji, Hercegoviny i Bośni: Zvonimir Boban (Imotski), Davor Šuker (Livno), Igor Štimac (Metković), Slaven Bilić (Split). Nawet trener Ćiro Blažević, pochodził z Travnika w Bośni i Hercegowinie. Podobna sytuacja wydarzyła się w 2018 roku, kiedy Chorwacja wywalczyła srebro na mistrzostwach świata w Rosji przy pomocy Luki Modricia, Danijela Subašicia i Šime Vrsaljka (wszyscy z Zadaru), Dejana Lovrena (Zenica), Ivana Perišicia (Omiš) i Ante Rebicia (Imotski) pod kierunkiem Zlatko Dalicia (Livno, Bośnia i Hercegowina).

Trzy lata temu odmłodzony skład znów pod wodzą Dalicia udowodnił, że w rozgrywkach piłki nożnej drużynę z małego kamiennego kraju należy traktować poważnie. Tym razem brąz w Katarze wywalczyli Luka Modric, Dominik Livaković i Joško Gvardiola z Zadaru, Dejan Lovren z Zenicy, Borna Sosa z Grude (Bośnia i Hercegowina), Ivan Perišić z Omiša, Bruno Petković z Metkovicia, Marko Livaja, Mario Pašalić i Nikola Vlašić ze Splitu.

Zagłębie talentów

Byłoby niesprawiedliwe nie wspomnieć o innej dyscyplinie, którą z sukcesami uprawiają Chorwaci, czyli koszykówce. Sukcesy drużyny narodowej nie były aż tak spektakularne jak te piłkarskie, a to z powodu problemów związkowych tej dyscypliny, jednak kilka nazwisk zapisało się złotem w Europie czy lidze NBA. Niektórzy znaleźli się nawet w Hall of Fame: Dražen Petrović (Šibenik), Toni Kukoč i Dino Rađa (obaj ze Splitu).

Nie mniejsze sukcesy odnosiła także chorwacka reprezentacja w piłce ręcznej. Przez wiele lat złoto olimpijskie, tytuły mistrzów świata oraz wiele medali za drugie i trzecie miejsce z dumą nosili tacy sportowcy jak: Ivano Balić i Petar Metličić ze Splitu, Slavko Goluža z Kuli (Bośnia i Hercegowina) i Nikša Kaleb z Metkovicia. Ten pierwszy w 2010 r. został nawet ogłoszony przez Międzynarodową Federację Piłki Ręcznej (IHF) najlepszym piłkarzem ręcznym wszechczasów.

To jeszcze nie koniec cudownych dzieci Adriatyku. Bo właśnie w jego wodach rodzą się talenty chorwackiej reprezentacji piłki wodnej, która latami rywalizowała o czołowe miejsca z drużynami równie utalentowanych sąsiadów: Serbami, Słoweńcami i Węgrami. Złoto mistrzostw Europy chorwacka drużyna w śmiesznych czapeczkach zawdzięcza 13 zawodnikom reprezentacji Chorwacji, w tym aż 8 z Dalmacji, głównie z Dubrovnika i Splitu.

Tu jest kuźnia

Fakty mówią same za siebie. W Splicie łatwiej doczekać się na narodziny kolejnej gwiazdy sportu niż na hydraulika. Miasto może pochwalić się największą liczbą medali olimpijskich na mieszkańca w Chorwacji i większą niż wiele państw na świecie. Wszyscy z dumą reprezentują swój kraj, który staje się ważny nie tylko jako wakacyjna destynacja. To też ważna lekcja dla przyszłych zawodników, których starsi koledzy uczą, że występowanie w reprezentacji to przede wszystkim honor, a dopiero później pieniądze. Nawet kiedy kończy się kariera na stadionach i przychodzi czas na przygotowanie nowej kadry, byli zwodnicy, a dziś trenerzy traktują swój zawód jako powołanie i zobowiązanie, które należy oddać nowopowstającemu krajowi.

Jeśli o tym nie zapomną, budowa nowej drużyny piłkarskiej to kwestia czasu, a gwiazdy takie jak Modrić, Mandzukić i Rakitić już trenują na łąkach, placach zabaw, przyszkolnych boiskach czy dzielnicowych szkółkach piłkarskich.

W WODACH ADRIATYKU RODZĄ SIĘ TALENTY CHORWACKIEJ REPREZENTACJI PIŁKI WODNEJ, KTÓRA LATAMI RYWALIZOWAŁA O CZOŁOWE MIEJSCA Z DRUŻYNAMI RÓWNIE UTALENTOWANYCH SĄSIADÓW: SERBAMI, SŁOWEŃCAMI I WĘGRAMI.

eprasa.pl ac5f701e87

PRAWO

KRADZIEŻ NA WAKACJACH, czyli co robić, gdy zniknie portfel z dokumentami

W zeszłym miesiącu podczas urlopu w Hiszpanii skradziono mi portfel z dokumentami i kartami bankowymi. Wszystko działo się na ruchliwej ulicy w Barcelonie, najprawdopodobniej podczas wsiadania do metra. Początkowo byłem w szoku, potem pojawiła się złość, a później stres: co teraz? Nie miałem przy sobie ani dowodu osobistego, karty płatniczej, ani gotówki. Dopiero po powrocie do kraju dowiedziałem się, że mogłem część spraw **załatwić szybciej i lepiej**. Chciałbym zapytać, co należy zrobić w takiej sytuacji i jakie mam prawa jako ofiara kradzieży?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

Kradzież portfela czy telefonu może się zdarzyć wszędzie: na plaży, w pociągu, w restauracji, a nawet w hotelowym lobby. W emocjach łatwo zapomnieć o podstawowych zasadach postępowania, tymczasem odpowiednie działania podjęte szybko po zdarzeniu mogą zapobiec znacznie poważniejszym konsekwencjom, takim jak kradzież tożsamości czy obciążenie konta bankowego.

Pierwszym krokiem, zarówno w Polsce, jak i za granicą, powinno być zgłoszenie przestępstwa odpowiednim służbom porządkowym. W naszym kraju należy udać się na najbliższy komisariat policji, natomiast za granicą do lokalnej policji lub konsulatu, jeśli są trudności językowe. Warto pamiętać, że w wielu państwach zgłoszenie można sporządzić w języku angielskim lub nawet w języku polskim, szczególnie w miejscowościach turystycznych. Policja sporządzi protokół, który później może być niezbędny np. do reklamacji w banku, uzyskania dokumentu zastępczego lub zgłoszenia szkody ubezpieczycielowi. W przypadku zagranicznego wyjazdu warto też poinformować najbliższy konsulat RP, który może pomóc w uzyskaniu paszportu tymczasowego lub skontaktowaniu się z rodziną.

Drugim, równoległym działaniem powinno być niezwłoczne zastrzeżenie skradzionych kart płatniczych i dokumentów. W sprawie kart dzwonimy na infolinię banku lub do systemu Zastrzegam.pl (tel. 828 828 828), który działa całodobowo i przekierowuje do odpowiedniego banku. Im szybciej karta zostanie zablokowana, tym mniejsze ryzyko nieautoryzowanych transakcji. Warto wiedzieć, że bank odpowiada za transakcje dokonane po zgłoszeniu utraty i nawet jeśli ktoś się nią posłużył, środki muszą zostać zwrócone. Inaczej jest przed zgłoszeniem – bank ma wtedy prawo obciążyć właściciela kosztami do równowartości 50 euro, jeśli doszło do zaniedbania, np. zapisania PIN-u na kartce trzymanej razem z kartą.

Jeśli chodzi o dokumenty – dowód osobisty, paszport, prawo jazdy – wówczas należy jak najszybciej zgłosić ich utracenie. Można to zrobić w placówce swojego banku (większość banków ma taką funkcjonalność), przez e-dowód, Profil Zaufany, aplikację mObywatel, a w nagłych przypadkach nawet telefonicznie. Zastrzeżenie dokumentu uniemożliwia wykorzystanie go do zaciągnięcia pożyczki, podpisania umowy czy otwarcia konta bankowego. Warto również powiadomić swój bank i inne instytucje, w których dokumenty były zarejestrowane, np. u operatora komórkowego czy dostawcy prądu.

Jeśli już dojdzie do przestępstwa, warto również wiedzieć, że poszkodowany ma prawa, a nie tylko obowiązki. Zgodnie z Kodeksem postępowania karnego osoba pokrzywdzona

eprasa.pl ac5f701e87

może złożyć wniosek o ściganie sprawcy, mieć dostęp do akt sprawy, być informowana o etapach postępowania oraz, jeśli dojdzie do zatrzymania podejrzanego, dochodzić zwrotu mienia lub odszkodowania. W wielu przypadkach, szczególnie przy wyjazdach zagranicznych, warto wykupić polisę turystyczną obejmującą kradzież dokumentów lub bagażu. Ubezpieczyciel może wtedy pokryć koszty wyrobienia dokumentów zastępczych, opłat konsularnych, a czasem nawet kosztów zakwaterowania, jeśli utrata dokumentów uniemożliwiła powrót do domu w terminie.

WOLNA SOBOTA

Jednym z 21 postulatów Solidarności ogłoszonych w sierpniu 1980 r. był ten dotyczący wprowadzenia wszystkich sobót wolnych od pracy. Obecnie potocznie przyjmuje się, że soboty są faktycznie dniami wolnymi, lecz z formalnej perspektywy takie podejście wymaga doprecyzowania.

Dr hab. **Jakub Szmit**, specjalista z zakresu prawa pracy

PUNKTEM WYJŚCIA JEST W TEJ MATERII ART. 129 § 1 Kodeksu pracy, który przesądza, o tym że tydzień pracy jest przeciętnie pięciodniowy. Wynikają z niego dwa wnioski. Pierwszy odnosi się do kwestii przeciętności, ale ten wątek możemy w tym miejscu pominąć (oznacza on bowiem, że możliwa jest praca w niektóre tygodnie po 6 dni, pod warunkiem, że następnie pracownik dostanie inne dni wolne do końca okresu rozliczeniowego w terminie uzgodnionym z tym pracownikiem).

Drugim jest ten, że zasadniczo tydzień powinien obejmować pięć dni pracy, a tym samym także dwa dni wolne i to właśnie ten jest w tym miejscu istotniejszy. Regulacja ta jest bowiem ściśle powiązana z innym przepisem, tj. art. 151^9 § 1 Kodeksu pracy, w myśl którego dniami wolnymi od pracy są niedziele i święta określone w przepisach o dniach wolnych od pracy. Wynika z niego, że ustawodawca przesądził, że niedziela jest dniem wolnym od pracy (oczywiście od reguły tej są wyjątki, które wyznaczają sytuacje, kiedy w niedzielę praca może być świadczona). Innymi słowy, skoro w każdym tygodniu pracownik co do zasady powinien mieć dwa dni wolne, a jednym z nich jest z woli prawodawcy niedziela, to konieczne jest wskazanie drugiego dnia wolnego. Wskazanie to następuje na poziomie konkretnych pracodawców w oparciu o zasady dotyczące ustalania rozkładu czasu pracy. W praktyce zatem najczęściej ujęte jest to w regulaminie pracy lub w drodze decyzji pracodawcy samodzielnie ustalającego rozkłady czasu pracy dla pracowników.

Tym samym należy zauważyć, że na poziomie Kodeksu pracy nie zostało wskazane, że drugim obok niedzieli dniem wolnym w tygodniu musi być sobota. W konsekwencji takim dniem może być właściwie każdy inny dzień. Innymi słowy, u konkretnego pracodawcy mogą obowiązywać rozwiązania polegające na tym, że dniem wolnym będzie obok niedzieli, np. wtorek lub czwartek, a w takiej sytuacji sobota będzie traktowana jako normalny dzień pracy.

Dla uzupełnienia powyższego obrazu należy także wskazać, że istotną rolę w omawianej materii odgrywa jeszcze przepis art. 133 Kodeksu pracy, w którym ustanowione zostało prawo pracowników do minimalnego nieprzerwanego odpoczynku tygodniowego, który wynosi 35 godzin, i który powinien przypadać w niedzielę. W kontekście dotychczasowych uwag warto zauważyć, że także ta regulacja nie stoi na przeszkodzie wskazaniu jako dnia wolnego obok niedzieli innego dnia niż sobota. Może to ilustrować następujący przykład.

Otóż jeżeli u danego pracodawcy praca jest świadczona od 8 do 16, a dniem wolnym jest wtorek, wówczas pracownik kończy pracę w sobotę o 16, a zaczyna ją ponownie w poniedziałek o 8. Jego okres odpoczynku tygodniowego trwa zatem od 16 w sobotę do 8 w poniedziałek, co obejmuje 40 godzin (8 w sobotę, 24 w niedzielę i 8 w poniedziałek). Tym samym nie mamy wówczas do czynienia z naruszeniem minimalnego odpoczynku tygodniowego.

Reasumując, formalnie nie mamy do czynienia z ustawowo wolnymi sobotami, lecz z dniami wolnymi od pracy z tytułu przeciętnie pięciodniowego tygodnia pracy. Praktycznie najczęściej jako ten dzień jest wskazywana jednak sobota.

PYTANIA DO EKSPERTÓW

Pytania do naszych ekspertów prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**”) lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność”, ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl ac5f701e87

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA

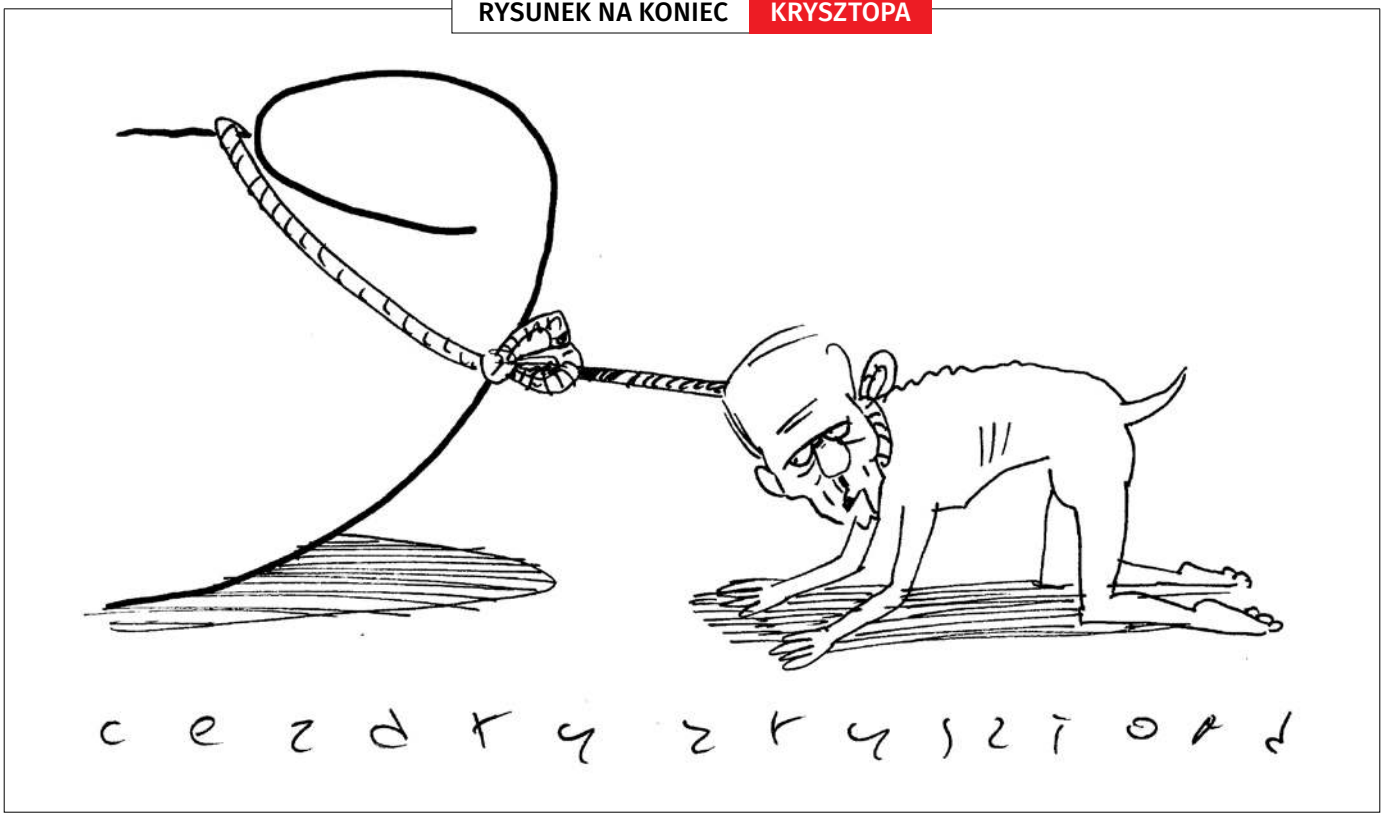

Nasi autorzy

Barbara Andrijanić (Bo to..., s. 68),
zajmuje się sztuką, kulturą i duchowością. Pisze ikony.

Andrzej Gajcy (Koń, który..., s 24),
wielokrotnie nagradzany dziennikarz związany w przeszłości m.in. z „Rzeczpospolitą" czy portalem Onet.pl. Pisze dla nas od 2025 roku. Jego ostatnia książka to „Kampania. Jak wygrać wybory i nie dać się złapać" (2025).

Sławomir Jastrzębowski (Bodnar..., s. 35),
był w przeszłości redaktorem naczelnym „Super Expressu" oraz właścicielem portalu Salon24.pl. Od 2022 r. prowadzi (w duecie z Rafałem Wosiem) autorski program „Lewy z Bicepsem" – obecnie emitowany na antenie TV Republika. W 2018 r. opublikował swoją debiutancką powieść „Toksyna". Jego dewiza brzmi: „Gdy nie wiesz, co robić, zrób biceps (dla Polski)".

Krzysztof Karnkowski (Dziurawa..., s. 36),
doktor socjologii, publicysta, współpracownik „Tygodnika Solidarność", wokalista punkrockowego zespołu Spirit of 84, twórca internetowy.

Marcin Żegliński (zdjęcia, s. 64),
latający fotoreporter „Tygodnika Solidarność". Jego prace znajdziecie w TySolu od 2009 roku. Sprawdzony zarówno w walce na łokcie na froncie sejmowym, jak i w oparach gazu łzawiącego podczas niejednej protestacyjnej zawieruchy.

PRENUMERATA NA 2025 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) Bezpośrednio u wydawcy „TS" – TYSOL Sp. z o.o., 00-838 Warszawa, ul. Prosta 30, tel. 22 882 27 80, e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com numer konta: Mbank 58 1140 1065 0000 2038 9400 1001. Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **tysol.pl**;

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 108,00 zł (12 wydań)
- II kwartał – 117,00 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 225,00 zł (od nr. 1 do 25)**
- III kwartał – 126,00 zł (14 wydań)
- IV kwartał – 108,00 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 234,00 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 459,00 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na: www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl ac5f701e87

REPUBLIKA

Jak pobudka, tylko z nami! Zapraszamy do Republiki na pierwszy program śniadaniowy w Polsce. Styl życia, zdrowie, kultura, sztuka, edukacja, ciekawostki, aktywność fizyczna, historia, rodzina, prognoza pogody i kącik kulinarny. **Zapraszają Anna Popek i Rafał Patyra.**

Od poniedziałku do piątku

5:30

sobota i niedziela

7:05

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR

WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl ac5f701e87

WYDANIE SPECJALNE

10 lat Trójmorza
Historia i przyszłość Europy Środkowej

DO KUPIENIA NA WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL